



WYCHODZI CO NIEDZIELĘ POD REDAKCJĄ PROF. MIECZYŚLAWA DĄBROWSKIEGO.

Dodatek do Nru 352 go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO” z dnia 21-go grudnia 1931 r.

Dr Zofia Krzemicka (Lwów).

W stulecie rzezi powstańców polskich w Elblągu i Fischau.

Amnestja rosyjska - Szykany w Trusach. - T. zw. „grupy opornych”. - Kaniebna rzeź w Elblągu 12. grudnia 1831 r. Strzały do bezbronnnych powstańców w Fischau. - Sądy pruskie uniewinniają zbrodnie mordu. - Brutalność pruska wobec oficerów polskich. - Zawsze ci sami.

Kraków, 20 grudnia.

Jesienią 1831 r. rząd i wojska polskie opuściły ziemię ojczystą, ustępując przed przemocą rosyjską. Bezbronne, gdyż broń złożyć musieli, przekroczywszy granicę pruską rzesze polskie, groźne były swą potęgą moralną — nieliczne, zapelniały świat cały swą sławą, niespożyte, choć dziesiątkowane przez śmierć i męczeństwo. — Chwalbą, okrzykiem uwielbienia przyjęła ich cała Europa; ludy witały w nich przedświt wolności, wyrażając równocześnie potępienie rządowi absolutnym.

I zdrzał car w Petersburgu przed siłą opinji, przed burzą nienawiści, którą przeciw niemu rozpętała wśród ludów Europy krzywda Polski. Obędzie zapragnął z nim bohaterstwa tych bojowników wolności, którzy z protestem przeciw uciskowi przebiegali szlak z Niemiec ku Francji. — W tej myśli, po dłuższych pertraktacjach z rządami trójzbrojników Polski, ogłasza car w ciągu listopada 1831 r. amnestję. Amnestję całkowitą dla powracających żołnierzy i podoficerów, pełną zastrzeżeń dla oficerów, elementu uświadomionego, mniej pożądanego w państwie despoty, z zupełnym zaś wyłączeniem osób skompromitowanych. Gdyby powrócili, władza samodzierżcy upora się z ich mrzonkami wolnościowcami, a tajnie kazamat, kaźnie Sybiru nie wywloką już krzywd polskich przed forum Europy.

Mężowie stanu Austrii i Prus również uświadomili sobie niebezpieczeństwo, tkwiące dla rządów absolutnych w tym pochodzie apostołów wolności; gazetom zabronionem było pisać o sromotnem, występującem się Rosji postępowaniu Prus i Austrii podczas powstania, pozwolono zniszczyć przystań wolności w dalekiej Warszawie — pisze dziennikarz niemiecki — na to, by teraz wolność sama uwiłać się mogła po kraju, pukać od chaty do chaty i przez usta swych 20.000 kaznodziej opowiadać, jak się za wolność walczy i cierpi... Owacyjne przyjęcie ludności dawało powód do niepokoju. Rządy corychlej pozbyć się pragną ze swych krajów niepożądanego, a kosztownego żywiołu, gdyż rząd rosyjski, po wydaniu amnestji, odmawiał zwrotu kosztów utrzymania żołnierzy polskich. Ułatwić chcą Rosji dzieło pacyfikacji. Sypią się na nieszczęsnych polskich przybyszy *szykany* coraz uciążliwsze na granicy; przydługie kwarantanny, odmawia się im paszportów do Francji. Z inicjatywy rządu pruskiego wychodzi rozkaz zamknięcia komitetów opiekujących się polskimi uchodźcami, którzy nie zdążyli się jeszcze wydostać poza granice Prus. A przedewszystkiem idzie o zerwanie łączności żołnierza polskiego z jego dowódcą. Odłącza się tedy szeregowców od oficerów, poddaje się ich pod pruską komendę, pod pruski regulamin. Powołując się na akt łaski carskiej, król pruski wydaje apel do polskich żołnierzy, by korzystali z ofiarowanego dobrodziejstwa i natychmiast, bez sprzeciwu, wrócili do kraju. Jednocześnie przyrzeka oficerom wstawić się za nimi i wyjednać przebaczenie dla tych, „którzy się sami zgłoszą do łaski carskiej”. Nie na to, by z pochyloną głową błagać carskiej wspaniałomyślności, wyszły z ojczyzny polskie zastępy, nie na to,



RZEŹ POLAKÓW WE FISCHAU d. 27. I 1832 r. — Według sztychu współczesnego Raffeta. Ze zbiorów Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

by wracać pod władzę knuta, w pęta. Skape wieści z kraju brzmią smętnie, *śroży się tam* nieublagany zwycięzca. Ku Francji zwracają się oczy wszystkich. Dawna towarzyska broń nie odmawia schronienia.

I wśród oficerów i wśród opuszczonych, lecz

zbrojną formację, przyszłe kadry dla Polaków z pod wszystkich zaborów. Z ścią pruską bezwzględnością zabiera się do dzieła. Opisu tej działalności dostarczają nam źródła pruskie.

Władze pruskie nie dopuszczają do Prus



RZEŹ POLAKÓW W ELBLĄGU d. 22. XII 1831 r. — Według sztychu współczesnego W. Bellange'a. Ze zbiorów Muzeum Lubomirskich we Lwowie.

świadomych swego celu żołnierzy wszczynają się coraz żywszy, żywiołowszy pęd ku francuskiej granicy. Niezmożona energia gen. Bema dostarcza środków potrzebnych. Rząd pruski jednak wzmaga utrudnienia, nie chcąc dopuścić, by za granice państwa wyszła znacznie większa liczba ludzi, którzyby zasilili żywioł ruchu i rewolucji, którzyby stworzyli mogli gotową

płm z Francji, zabronione są nawet gazety belgijskie. Żołnierzy, do których nie dopuszcza się oficerów, dzieli się na grupy, z wyłączeniem bardzo nielicznych „skompromitowanych”, starają się siłą doprowadzić do rosyjskiej granicy. Nie wielka ilość jednak okazuje się powolną; powstają grupy t. zw. „opornych”, przeciw którym władze pruskie

występują z całą surowością. Oficerowie polscy, nieraz w przebraniu starają się dotrzeć do swoich oddziałów, niektórzy żołnierze i podoficerowie, jako ordynansi oficerów w pojedynkę wymykają się do Francji.

Lecz mimo brutalności, z jaką władze pruskie zagnęły szeregowców do powrotu do zaboru rosyjskiego, polscy szeregowcy opierali się z całej siły wrogim zakusom. Pozbawieni oficerów, w obym kraju, niedostatecznie żywieni, nędznie odziani, choć nęceni obietnicą łask w Rosji, a straszeni perspektywą niedoli we Francji, korzystali ze wszelkich sposobów wydostania się i odosłali się do zarządzeń pruskich z głębokim niedowierzaniem. Poczuli stawiać opór pruskiej dystrybucjom, mającym zbliżyć ich do rosyjskiej granicy.

W *Neutich* omal nie doszło do starcia między żołnierzami 4 pułku piechoty polskiej, wzburzonymi wieścią o oczekujących ich w *Elblągu* *Moskalach* a kompanją pruską. Na zapowiedź wezwania przeciw nim artylerji, żołnierze polscy doprowadzeni do rozpaczy, rozkładają się obozem na ulicach, oświadczając, że dalej nie pójdą. Na skutek interwencji mieszkańców i kilku oficerów polskich, obecnych w mieście, zajęcie zostało zlikwidowane. Przyrzeczono Polakom uwzględnić ich żądania. Lecz gdy mimo to zarządzono znów nową dystrybucję do *Preuss Holland*, pułk artylerji polskiej, stanawszy dnia 22 grudnia 1831 wieczorem na rynku w *Elblągu* oświadczył, że raczej zginą, aniżeli wydać się pozwolą *Moskałom*. Otoczył ich tedy oddział *huzarów Canitza* i na rozkaz generała *Rummla*, który z okna z zimną krwią śledził tę scenę, wykonał *krwawą szarżę* płazując i kłując szablami bezbronnnych Polaków. Wedle sprawozdań pruskich, kilku Polaków legło na placu, kilku odniosło mniejsze kontuzje.

Krzyk oburzenia rozległ się w całej Europie, w Niemczech samych zaprotestowano przeciw znieważeniu prawa gościnności. Rząd pruski odwołał wprawdzie generała *Rummla*, który pocieszył się wysokim odznaczeniem rosyjskiem. System jednak nie uległ zmianie, co doprowadziło znowu do *rozruchów w Tczewie*, gdzie oddział 500 ludzi *kawalerji* dopiero po pięciodniowym zamknięciu godził się ruszyć ku granicy rosyjskiej. Dla uspokojenia wzburzonych umysłów polskich przyrzekł generał *Schmidt*, następcą generała *Rummla* wydać paszporty do Francji *najbardziej skompromitowanym*.

Lecz pomimo obietnicy wydania paszportów wszystkim zgłaszającym się, major pruski *Schweykowsky* zawiadomił d. 27 stycznia 1832 r. oddział polski, stojący we *Fischau*, że na rozkaz generała tylko nieznaczna liczba dostanie paszporty, reszta zaś ma odejść do Rosji, a gdy nie uczynią tego dobrowolnie, wydani zostaną *siłą*. Rozgoryczeni tym rozkazem żołnierze, podążyli chęć do *Malborga*, by zażądać tam od generała dotrzymania przyrzeczenia. Lecz oddział obrony pruskiej zastąpił im drogę. Stanęły polskie szeregi zwartym rzędem, a gdy zaintonowały *marsz Chłopickiego*, rozległa się komenda

pruskiego kapitana Richtera „Ognia!“ Ostre strzały padły na gromadę bezbronną Polaków. Dziewięciu zabitych, znaczna część rannych na placu, reszta się rozproszyła, jak melduje oficjalne sprawozdanie pruskie.

By usprawiedliwić w oczach oburzonej Europy i własnych poddanych ten brutalny akt przemocy i nadać mu pozory aktu prawnego, władze pruskie zwołały sąd wojenny, gdzie oprawy przeobrażenia w sędziów, skazali na więzienie Polaków, osądzonych za gwałtowny opór władzy. Zaczyna Amerykanin dr. S. Howe, który w porozumieniu z gen. francuskim Lafayettem ruszył do Elbląga, by przyjść z pomocą Polakom, do których dotrzeć nie mógł „wysłannik francuski“, został tamże aresztowany za „szerzenie zamętu“.

Gdy jednak mimo wszystko spora liczba żołnierzy polskich opierała się powrotowi, wydał gabinet pruski dnia 23 maja 1832 rozkaz, że „ci, którzy nadal trwać będą w uporze niewracania do Polski uważani będą za ludzi, na których ciążyą osobiste zbrodnie. I ci „niepoprawni“ zostali więzieni pod ścisłą dozór, zamknięci w twierdzach, w Gdańsku, w Pilawie i Grudziądzu, użyci byli do ciężkich robót. Niektórzy ulegli wreszcie terrorowi, powrócili do Polski, niektórych wydostać zdołali rodacy przy pomocy zagranicznej interwencji i ci wytransportowani zostali do portów francuskich lub amerykańskich. A inni wreszcie — zapomniani legli wśród zawodów...

Na emigrację oficerów rząd pruski patrzył również niechętnie, nie śmiał jednak występować tak otwarcie, ograniczał się tylko do robienia trudności w wydawaniu paszportów, a mimo trzaskających mroźów i ran nie raz otwartych, przynaglał ich tylko do wyjazdu. Gen. Rybiński dwukrotnie pisał do króla pruskiego, żaląc się na zachowanie władz pruskich wobec polskich żołnierzy i przypominając warunki kapitulacji, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

System wypierania w ręce wroga ludzi, którym zapewniono uroczyście schronienie, niezamierza da się usprawiedliwić. Prusacy, świadomi ogólnego odruchu społeczeństw, starali się przez szereg broszur i ulotek zwać winę na Polaków, piętnując ich niekarność i buntownicze usposobienie. Ale napróżno. — Niemcy, nawet wyrzekając się swej solidarności współplemiennej dawali wyraz oburzeniu przyjmując jeszcze serdeczniej przejeżdżających Polaków ze słowami: „Wszak myślimy nie Prusacy!“ Współczesne styczki francuskie przechowały pamięć krwawej rzezi w Elblągu i Fischau i napisy pełne wyrazów potępienia dla sprawców. Dziś z perspektywy stułetniej mniej nas już dziwią owe akty ule-

galizowanego gwałtu i teroru ze strony pruskiej. W tem szaleństwie jest metoda. Dowiodły tego liczne akty samowoli pruskiej, ubrane w pozory prawa podczas wielkiej wojny.

IZA PIERZCHALANKA (Lwów).

OJCZE NASZ

dla dzieł moich
kromę jasnego słońca daj mi
i pozwól mi wyplakać ich wszystkie przyszłe
i —
o, pozwól mi twarzą ich ustroić
rumianą krasą zdrowia i uśmiechem

MIECZYŚLAW ZIELENKIEWICZ

BIAŁY DYKTATOR.

Wedety mkną! —
Jakby na wiosnę, kwiat jabłoni
Z pod nóg się sypie białych koni,
A biały brukarz na ponowę
Rozściela płyty kryształowe.

Wedety mkną! —

W walce ze życiem i w przymierzu
Idzie dyktator w srebrnej zbroi,

Masakry bezbronných w Belgji i Francji, pogromy w Królestwie Polskiem — to odpowiedzi rzezi w Elblągu i Fischau przed stu laty.

guje poniekąd na nazwę polskiego „dopelnienia Juljusza Verne'go“.

U wielkich naszych powieściopisarzy doby pozytywizmu niema miejsca dla motywów morskich, uwaga społeczeństwa nie zwraca się w jego stronę. Dopiero czujny i przewidujący duch Żeromskiego już w „Róży“ poświęca Kaszubom i morzu naszemu żywszą uwagę i stara się obudzić zainteresowanie polskiej myśli problemem morskim. Odtąd Żeromski nie spuszcza z oka tej sprawy (Uroda życia, Wiśła, Snobizm i postęp, Wiatr od morza, Międzymorze). „Ani jeden z polskich literatów — pisze Esih — z taką miłością nie opisał czarów polskiego Pomorza i Helu, co Żeromski. On to przede wszystkim zasłużył na nazwę poety polskiego morza i wybrzeża“. A znaczenie „tych jego dzieł wychodzi poza ramy literatury i sięga głęboko w pokłady aktywnego, narodowego i państwowego życia“. Żeromskiemu też poświęca Esih znaczną część tej swojej rozprawy.

Z nowszej literatury wylicza prócz niego Litgockiego, Jerzego Bandrowskiego, Żaruskiego, Sosnkowskiego, Grabińskiego, Salińskiego, Ossendowskiego, Brzeczowskiego, a wreszcie Słonimskiego („Pod zwrotnikami“) i Tadeusza Dębickiego, a bezpośrednio po Żeromskim dłuższy ustęp poświęca życiorysowi i twórczości Conrada Korzeniowskiego, którego zalicza do polskiej literatury, gdyż myślał po polsku, aczkolwiek pisał po angielsku. Rozprawę swoją kończy dr. Esih następującymi słowami:

„Każda cegła, wbudowana w Gdyni, umacnia polską sytuację na Bałtyku, każda tona, przewieziona przez polskie statki handlowe, powiększa znaczenie republiki polskiej w świecie. Ostatnia słowiańska straż pozostała nad Bałtykiem — a jest nią niezwyciężone polskie Pomorze, któremu my od Jadranskiej strażnicy ślemy swoje serdeczne pozdrowienia“.

Zapewne, praca dra Esiaha nie jest wyczerpująca, nie kusi się o głębsze ujęcie tematu, posiada nawet dziwne luki, niema w niej nawet wzmianki n. p. o obu wspaniałych powieściach Sieroszewskiego p. t. „Beniowski“ i „Ocean“, lecz w każdym razie godna jest uwagi z naszej strony, jako szlachetny objaw propagowania naszego morza i literatury, wśród naszych południowych pobratymców i to przez ich własnych rodaków, oraz zrozumienia przez nich, czym jest dla Polski, a pośrednio i dla całej Słowiańszczyzny, ten mały skrawek naszego brzegu morskiego.

Dr. W. Bazieli.

Okuchy.

Chowacka rozprawa o morzu w naszej literaturze.

Zagrzebski sławista Dr. Ivan Esih, który z początkiem bieżącego roku ogłosił w sara-jewskim miesięczniku „Napredak“ i w osobnej broszurze rozprawę o polskim słowianofilstwie z szczególnym uwzględnieniem stosunków polsko-chorwackich, opublikował znów w splitskim czasopiśmie „Jadranska straža“ rozprawę p. t. „Morze w polskiej literaturze“. Wydał ją również w osobnej odbitce w formie broszury, ilustrowanej szóstcioma fotografiami naszych statków.

Asumpt do napisania tej milej rozprawki dała Esihowi zeszłoroczna dziesiąta rocznica „zaślubin Polski z morzem“. Na wstępie określa w niej autor pokrótce gospodarze i polityczne znaczenie Gdyni, którą nazywa symbolem „twórczych zdolności i życiowej siły polskiej republiki“, wspomina o działalności „Instytutu Bałtyckiego“ i „Ligi morskiej“ wraz

z jej organem „Morze“. Podmalowawszy zaś w najogólniejszych rysach motyw morza w literaturze jugosłowiańskiej i niemieckiej, nawiązuje do studjum prof. Romana Pollaka p. t.: „Morze w poezji polskiej“.

Motyw morza znajduje Esih już u Galla-Anonima, którego dzieło nazywa poetyczną powieścią. Wymienia następnie Kochanow, skiego, w którego twórczości morze nie odegrało prawie żadnego znaczenia, oraz Marcina Borzymowskiego opis podróży morskiej z Gdańska do Lubeki. Cały czar morza spotykamy dopiero w „Sonetach krymskich“ Mickiewicza, który właściwie pierwszy wprowadza morze do naszej poezji i mistrzowsko je opiewa. Za najlepszy poemat polski o morzu uważa jednak „Genezis z Duchą“. Bezpośrednio potem wylicza Esih Konopnicką, Wyspiańskiego („Powrót Odysa“), Felicjana Faleńskiego, Gomułkińskiego, Oppmanna, Gruszeckiego z jego powieścią „Tam, gdzie się Wisła kończy“ jako pierwszą u nas powieścią na tle życia kaszubskich rybaków, Przybyszewskiego i dwóch autorów powieści dla młodzieży: Przyborowskiego i Umińskiego, o którym powiada, że zasłu-

EDWIN HERBERT (Poznań).

Szaleństwo Jana. Nowela nieco abstrakcyjna.

Mieszkanie jest trzypokojowe, z kuchnią. Właśnie: pracownia, jadalnia, sypialnia, no i kuchnia. Nie często zdarza nam się oglądać szczegółowo własne mieszkanie — i przechodzić z pokoju do pokoju — i zatrzymać się w kuchni, by spojrzeć na niezastawiony garnkami piec, by zajrzeć do szafy i westchnąć na widok ustawionych talerzy, filiżanek..., by przejść kuchnię — i zajrzeć nawet do śpiżarni. Ale się zdarza.

Jan czyni to, a nawet czyni to od pewnego czasu codziennie. Od pewnego czasu? Od czasu, gdy w trzypokojowym mieszkaniu zabrakło Anny.

Dziwny jest dzień bez niej; — dzień — jednostka czasu, który płynie nieubłaganie i coraz szerszym czyni koryto rzeki, oddzielającej dzisiejsze dziś od minionego wczoraj.

Dziwny jest trzypokojowe mieszkanie bez niej; mieszkanie, jednostka przestrzeni, która się niby nie zmienia, a jednak się zmienia. Trzy pokoje są coraz mniej słoneczne, a codzienne drogi coraz bardziej szare i nużące...

Wszystkie szczegóły schematu były już mniej więcej wypełnione. Zabrakło jeszcze tego pytania, na które odpowiedź jest albo zdziwiona i obojętna, albo tak bolesna i tak bardzo niepotrzebna. Pytanie: „Czy kochałaś kogo przedemną?“ I, oczywiście, pytania dalsze — drażliwe, nietaktowne, brutalne.

Pytanie to padło, gdy już przecież wszystko było nieodwołalne. A pada zawsze wtedy, gdy już wszystko jest nieodwołalne. Gdy już wszystkie inne szczegóły schematu miłości są wypełnione i niepowrotne.

Wtedy był czerwiec, a miłość ich zaczęła się w marcu; miłość Anny i Jana. Czyż nie dość czasu było przedtem?

Był wtedy czerwiec. Szli drogą polną, każde w koleinie tego samego wozu, który mi-

nał ich i zniknął w tumanie kurzu. Z obu stron chwiały się szeleszczące łany niedojrzałych zbóż, ciepko pachnące i spowite w białawym pyłku... Mówili o czym innym. O czym innym, niż to. A jednak tego uniknąć się nie udało. Tego pytania.

Zapytał, w chwili, gdy rozmowa dotyczyła wartości sztuki stosowanej, zapytał: „Czy kochałaś kogo przedemną?“

I oto najprostszą odpowiedź Anny: „Nie!“ Czyż można wtedy jeszcze o coś pytać? Czyż można nie wierzyć, gdy teraz jest czerwiec, jest słońce, są pola, łąki, lasy, jest miłość, gdy potężnym „nie!“ oddalone zostały wszystkie lata, które zbliżyły Annę do tego właśnie dnia, gdy pokochać miała Jana?

Nie pytał już o nic; lecz nie wierzył. Któż zbadać zdoła tajemniczy mechanizm, który na słonecznej tarczy ogromnej radości, słuszenie wynikającej z odpowiedzi Anny, stworzyć może maleńką czarną plamkę niewiary. Niewiara jego była od bezwzględnej wiary oddzielona tak nieznacznie, iż nie zauważył jej świadomie. Nie pytał już o nic i wznowił temat o sztuce stosowanej.

A dalsze miesiące zatarły tę drobniutką plamkę, tę granicę między wiarą i niewiarą, i odrzuciły w obojętność i niepamięć kwestję tych lat Anny, gdy nie istniała jeszcze w kole życia Jana. Gorąca miłość i reszta szczegółów w schemacie narzucały mnóstwo innych problemów, równie drobnych, jak niewiara, która och! jak niepotrzebnie! urodziła się w ów słoneczny czerwcowy dzień.

Więc przyszły: nieznośne ceremonie ślubne, pierwsze obiady w trzypokojowym mieszkaniu, pierwsze kłopoty wspólne — i przyszły lata nieustannej, tajemniczej walki — dziwacznej walki, która zawsze się rodzi w miłości. Walki, która ma rozmaite postacie i rozmaite następstwa; ona wypełnia karty historii ludzkiej. Przyszły wszystkie te wypadki, które się przeciętnie zdarzają, i które nie innego nie czynią, prócz zabijania dni i lat.

Lecz nie o miłość tu idzie. Ani o Annę, ani o Jana. Idzie o cierpienie, godne pióra, godne życia.

Jan: — oto wynik najdalej posuniętej ascezy pisarskiej, wynik upartej chęci syntetyzowania, odrzucającej jedne po drugich wszystkie akcesoria. Zostało tylko imię — i, chociaż ono również jest obojętne, pozostać musi jako jedyna tama między abstrakcją i życiem, jako nazwa kompleksu, podlegającego wpływowi — człowieka, podlegającego światu, którego jest albo twórcą, albo widzem, albo materialem.

Jan był materiałem życia; świadomym może, lecz bezsilnym. Czyż można opanować siły swej duszy, jeśli one ją tworzą?

A więc przyszło także, w dwa lata po ślubie, przypomnienie owego pytania, i skądś — chyba z piekiel! przywlekała się zrodzona, lecz zapomniana niewiara.

„Nie!“ zamykało tajniki serca Anny. I oto podczas pewnej bezsennej nocy Jan zaczął cierpieć z miłości. Nie! nie z zazdrości o tamte chwile, o których nie wiedział; Jan nagle pomyślał z straszonym lękiem o tem, że może Anna cierpi, gdyż wtedy skłamała.

Rozważał rzecz starannie. Wybaczał kłamstwo z tą łatwością, na jaką nie byłby się zapewne zdobył wobec faktu. Lecz owa bezsenna moc wraz z niemilcami myślami przeszła. Zdawało się, że niema powodu, aby owe nieznośne podejrzenie wróciło. Wbrew rozsądnym przewidywaniom jakieś tam skojarzenia po kilku tygodniach znów wyrzuciły nawierzech przypomnienie tego zagadnienia.

I tak raz po raz wracało. Męczyło go to bardzo. Jakże uwolni Annę od kłamstwa, gdy nieszczęśne „nie!“ odcieło wszystkie możliwości?

Chciał jej ułatwić wyznanie. Zaczął ją badać, stawiał podstępne pytania, przyglądał się ukochanej twarzy na jawie i we śnie. Patrzył jej w oczy, gdy podawała mu obiad, gdy go żegnała i witała. Z każdym dniem rosła absurdałna, lecz rzeczywista troska.

Anna była zdziwiona jego zachowaniem się, potem zaniepokojona, wreszcie zaczęła się Jana bać. Nie dobrze jest, gdy kobieta boi się ukochanego mężczyzny. Lecz czy mogła zrozumieć tak niemożliwe do przecucia szaleństwo?

Jan doszukiwał się oznak cierpienia u Anny, cierpiąc sam. I cierpienie to zamknęło go w samotności własnych odczuwań. Oczywiście, cierpienie to wybudowało między Janem i Anną mur nie do przebycia.

„O, jak męczy się, jeśli kłamała wówczas i ciągle, ciągle pamiętać musi o swoim kłamstwie!“ — oto formułka Jana.

A Anna? Trudno jej było kochać z dniem każdym coraz bardziej obcego człowieka. Bo to przedziwne manjakałne cierpienie trwało i trwało, aż trwaniem swem wypełniał zaczęło czas, który winien był być przeznaczonym na miłość. I wreszcie mógł Jan odszukać w pobladłej twarzy Anny wyraźne ślady przeżytych ciężkich godzin. Dziwny zaiste triumf!

A potem nie było już rady. Jan postanowił po długich zmaganiach się z sobą zadać Anni nie po raz drugi te same pytania, które oddzieliły ich w ów dzień czerwcowy tak niespodziewanie a tak skutecznie.

I znowu padła odpowiedź: „Nie!“ — ku zdumieniu i nielogicznemu smutkowi Jana. Lecz dalszy ciąg odpowiedzi Anny był jeszcze bardziej niespodziewany, choć zupełnie logiczny: „Nie kochałam nikogo przed Tobą, — — — — — lecz oto teraz kogoś kocham po Tobie“...

Tak! Anna odeszła, odepchnięta niezrozumiałym szaleństwem Jana. Lecz wyleczyła je. Czy świadomie? Jeśli tak, to — być może — powróci?

Smutny jest dzień bez niej. Puste mieszkanie trzypokojowe: Pracownia, gdzie nikt teraz nie rozrzuca niedbale najważniejszych papierów i nie przerywa śpiewem pracy. Jadalnia, gdzie trzeba siedzieć samemu przy obiedzie dostawionym z pobliskiej restauracji. Sypialnia, gdzie niema na poduszce drugiego łózka zarysu ciemnej głowy i w ciszy nocnej nie słychać drogiego oddechu. No, a jest jeszcze kuchnia z pustym piecem. Tak! tak! I jeszcze śpiżarnia, gdzie psują się jakiegoś zaprawy...

A może Anna zrozumiała Jana? A może wróci?

Dr MIECZYSLAWA RUXERÓWNA (Poznań).

Famagosta, miasto-mumja

Dzieje miasta. — Mury i bramy. — Wnętrze miasta. — Kościoły i budowle gotyckie.

Kraków, 20 grudnia.

Stare to miasto. Egipcjy Ptolomeusz, pod których rządami był Cypr od r. 321 przed Chr., tu niegdyś założył miasto Arsinoe. — Z kolei w r. 58 przed Chr. przeszło w ręce rzymskie, a przy podziale państwa rzymskiego wraz z całym Cyprem w ręce *władców bizantyńskich*, wraz ze zmianą pana zmieniając i nazwę (*Ammochostos*). Czasy świetności największej miasta a zarazem etap ostatni jego istnienia to lata 1196—1571 r. *Ryszard Lwie Serce* oddał Cypr hr. de Lusignan, którego brat i następca przyjmuje w r. 1196 tytuł *króla Cypru*, rozpoczynając okres świetności Cypru, a z nim i miasta, teraz *Famagoste* przez Francuzów nazwanego, co potem Włosi na *Famagosta* przerobili. Miasto jest głównym portem wojennym i handlowym królów cypryjskich. Tu zawijają pielgrzymi, dążący do Ziemi świętej lub z niej wracający. Tu mają swe kościoły wszystkie wcześniejsze na Wschodzie wyznania chrześcijańskie, a więc prócz kościoła rzymskiego i greckiego także Nestorjanie, Maronici, Syryjczycy, Armeńczycy. Ludność Famagosty dochodzi 70.000, bogactwa mieszkańców stają się przyśłowowe. W r. 1373 miasto przechodzi w ręce *Genueńczyków*, którym odbija je w r. 1463 ostatni król Cypru, *Jakób II*, lecz już w kilka lat po jego śmierci, bo w r. 1489, królowa wdowa, *Katarzyna Cornaro*, odstępuje wyspę republice weneckiej. Rok 1571 kładzie kres istnieniu Famagosty — po trzynastomiesięcznym oblężeniu, po 75 dniach bombardowania zdobywają ją Turcy. Turcy gwałcą warunki kapitulacji: gubernator miasta, Bagradnio, ginie w meczarniach, ludność wymordowana lub uprowadzona w niewolę, miasto w ruinie,

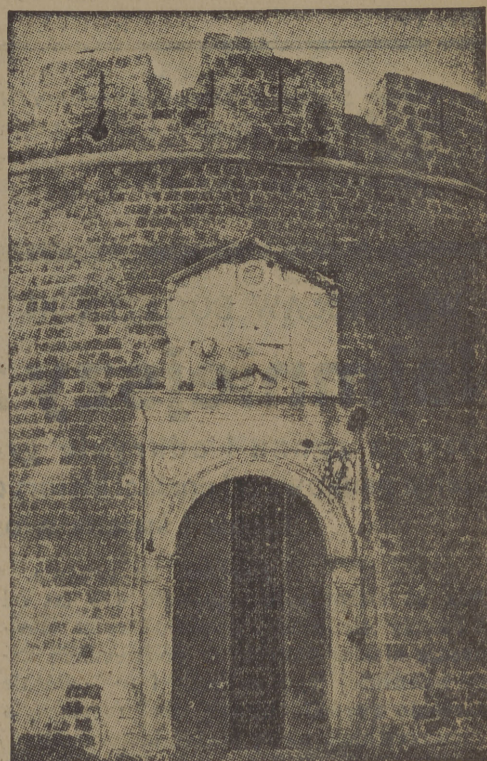
ski na straży *limassolskiej bramy*, panującej nad drogą, wiodącą w głąb kraju. Dwie tylko bramy posiadała Famagosta. *Brama morską* — od strony morza — w kragłej wieży, ma ponad wejściem iwa św. Marka i napis Mikolaja Priolo, gubernatora weneckiego z r. 1496. Na prawo od bramy potężna *cytadela wenecka*, przylegająca do muru północnego, flankowana wieżami i otoczona głęboką fosą. Stąd, z małej północno-wschodniej wieży panowano nad wejściem do portu. Wewnątrz cytadeli znajdują się potężne sklepienie budowle, pozostałość z dawnego *zamku królów cypryjskich*, wzniesionego w latach 1300—1310.

Wnętrze miasta — cała część północno-zachodnia i południowo-wschodnia to pustka, to *pastwiska*, gdzie rosną grupami *palm*, białymi wstęgami wiją się drogi, pasą się trzody — a tu i ówdzie wśród pustki wyrastają przepiękne *kościółki gotyckie*. Niewielka ilość domów nowszych, jakie w ostatnich latach

arkadach, za nim resztki gotyckiej *fasady*, oraz — z boku — gotycka fontanna. W podwórzu, ułożone w stopy, leżą kule armatnie z czasów oblężenia w r. 1571. Z pałacu pozostały nieznaczne resztki, w których dziś mieszczą się: odwach, więzienie (dawna kaplica) i stajnia. W pobliżu mieści się kilka znaczniejszych budowli gotyckich: na południe od pałacu *kościół św. Piotra i św. Pawła*, wzniesiony w połowie XIV w., na północ ruiny kościoła *św. Franciszka i klasztoru Franciszkanów*, a jeszcze dalej ku północy dwie bliźniaczo podobne kaplice: *Templarjszy i Joannitów*.

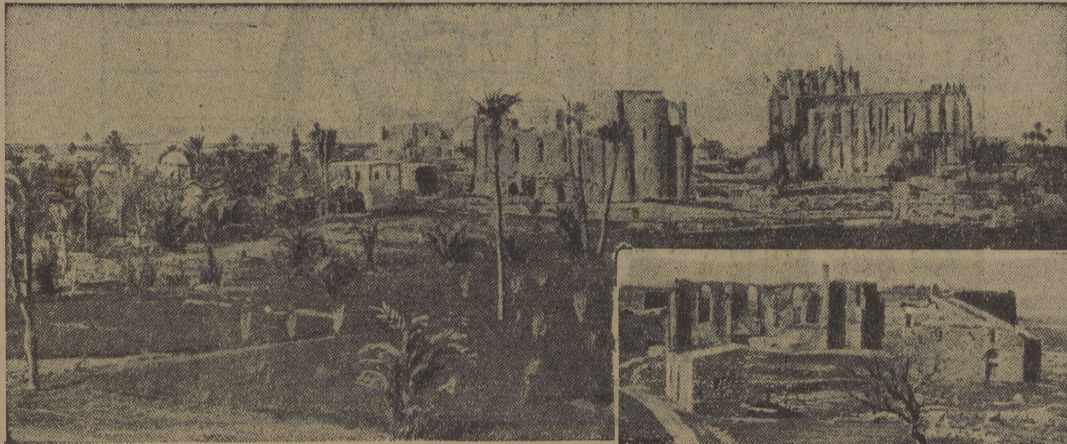
W tej części miasta trochę domów nowszych, podobnie jak w dzielnicy de la Zecca i „greckiej”. Cała zachodnio-południowa część miasta to pastwisko z ruinami kościołów. Tu leżą: kościół *Nestorjanów* (ok. 1360 r.) z resztkami malowideł, *św. Anna* (kościół Maronitów z XIV w.), mały, niezidentyfikowany *kościół z XV w.*, w którym dziś idyllicznie mieszka jakaś cypryjska rodzina, piękny gotycki kościół *N. Panny z góry Karmelu* z resztkami malowideł włoskich z XIV i XV w. oraz w północno-wschodnim narożniku miasta *kościół armeński* (połowa XIV w.) z malowidłami bizantyńskimi.

W dawnej dzielnicy de la Zecca stoją *dwie gotyckie kościoły*, w dawnej „greckiej”,



Brama morską w Famagostie, na Cyprze.

szeregi lacińskiej daremnie na te tereny przez szczepioną kulturę, stoją bardziej jeszcze samotne niechętnym do nich tosunkiem społeczeństwa cypryjskiego. Cypr od niepaniętych czasów przepajany elementami wschodnimi, wychowany pod techniem bizan-



Ogólny widok środkowej części miasta Famagosty na Cyprze.



Ruiny kościoła Maronitów (na prawo), ruiny kościoła N. Panny z góry Karmelu (na lewo), w głębi, na lewo bastion Martinengo w Famagostie, na Cyprze.

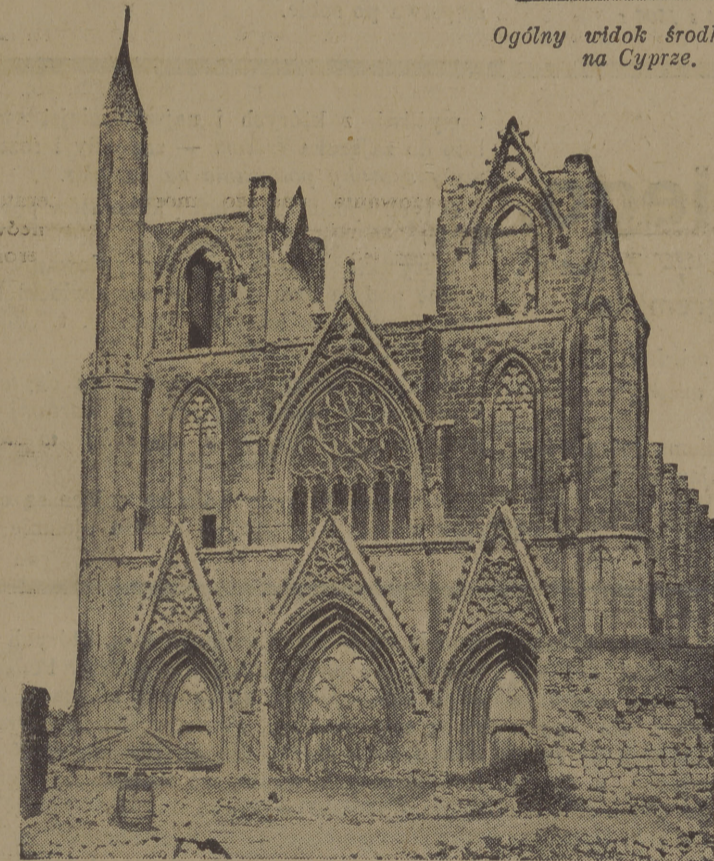
oprócz *dwu gotyckich*, resztki katedry „*św. Jerzy grecki*” z końca XIV w. i trzy mniejsze *bizantyńskie budowle* (kościół i dwie kaplice).

Część południowo-wschodnia, dawna dzielnica arsenału, to znów pustka, ożywiona tylko ruinami *kościół św. Antoniego, szpitala św. Antoniego, gotyckiej kaplicy* i niezidentyfikowanej gotyckiej budowli.

Dziwnie bolesne ogarnia uczucie, kiedy się błądzi wśród ruin Famagosty. Oto stoją na zagładę skazane te cudne kwiaty naszej zachodniej architektury, stoją jak symbol na-

tyzmu, uparcie chowający dawne tradycje, również uparcie przechował *niechęć do obcych*, do dalekich mu wiarą, niechęć do „barbarzyńców z Zachodu” tę samą, która niegdyś dzieliła laciński Zachód i grecki Wschód, która nie miała przyczynić się do upadku Bizancjum.

Jest jakaś przepaść głęboka między „*duszą lacińską*”, t. zn. *duszą nas wszystkich*, którzyśmy w jakikolwiek sposób kulturę brali z Rzymu, a „*duszą grecką*”, wychowaną pod techniem kultury bizantyńskiej.



Fasada kościoła gotyckiego św. Mikolaja w Famagostie, na Cyprze.

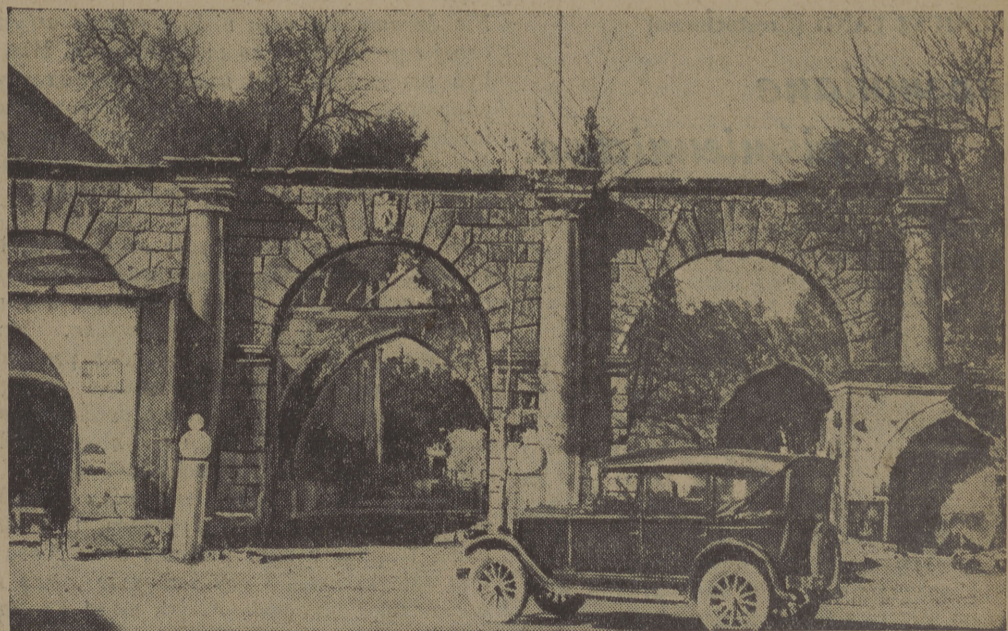
której już się nie podniosło — miasto-trup, może raczej *miasto-mumja*. W r. 1878 przechodzi wraz z Cyprem pod okupację angielską. Potężne, doskonale zachowane, żółtawe mury, w całości niemal z czasów weneckich pochodzące, zakreślają nieregularny czworobok o obwodzie 3200 m. Na narożnikach potężne *bastiony*, wzdłuż murów, w odstępach 100—150 m., półkragłe *wież*, przed murami *fosy* 40—50 m. szerokości, niekiedy cięte w żywej skale. Szczególnie potężny jest bastion Martinengo w narożniku północno-zachodnim, pochodzący jeszcze z czasów przedweneckich oraz południowo zachodni bastion limassol-

tyku francuskiego z pierwszej połowy XIV w. — służy dziś jako *meczet*; w związku z tem przeznaczeniem wzniesiono z boku smukły *minaret*. Wnętrze katedry bielone, co psuje wrażenie, w oknach typowe okrągłe szybki mahometańskie, w posadzce tu i ówdzie nawpół zatarte dawne *plyty grobowe*.

Na prawo od katedry leżą ruiny „*św. Jerzego lacińskich*”, najstarszej gotyckiej budowli Famagosty. Od „*bramy morskiej*” obok katedry wiodła główna ulica miasta na rynek, przy którym leżał *pałac królewski* (z XIII w.), zmieniony przez Weneccjan w *pałac gubernatora*. Zachował się *portyk wenecki* o trzech

popbudowano, skupia się głównie w dawnych dzielnicach de la Zecca i „greckiej” oraz w centrum miasta w pobliżu pałacu. Domy przeważnie niskie, parterowe, zbudowane są z białych kamieni, z grubszą ociosanych, pomiędzy które w szpary powtykano mniejsze kamyczki. Z tych samych cypryjskich wapieni i piaskowców wzniesione są także *kościółki i pałace*, co przyczynia się do ich powolnej a nieustannej ruiny, ponieważ materiał ten na deszczu i wietrze łatwo ulega zniszczeniu.

Z kościołów gotyckich najlepiej zachowała się *katedra św. Mikolaja*, kryta, jak zresztą wszystkie kościoły cypryjskie, *dachami terasowymi*. Budowla ta — wspaniały okaz go-



Wenecki portyk pałacu gubernatora (XVI w.) w Famagostie, na Cyprze. W głębi widać fasadę gotyckiej budowli, na prawo fontannę gotycką.

Przysłowia.

Motto.

Nie miem, czy jaki pomnik może być równego znaczenia, większej wagi i plodniejszy we wnioski — nad zbiór przysłów.

J. I. Kraszewski.

„*ora Adamie, ora!* z tak rozkosznego dwora

Pierwszy raz spotykamy to wyrażenie w kantykach z 1630 r. p. t.: „*Symfonje antelskie*”. Jako przysłowie przyjęło się od czasu, kiedy w 1790 r. dłużnicy zajęli pałac podskarbiego w k. Adama Ponińskiego.

Gut, bon, Saglas London, de kowal de Balabanówka.

Przysłowie to datuje się od jakiegoś *Biemachera z Balabanówki*, który takim napisem zrobioną przez siebie strzelbę przyozdobił. (Biemacher, prawdopodobnie z niem. Büchsenmacher). Wzmiankę o tym przysłowiu spotykamy w „*Panu Tadeuszu*” w ks. IV-ej:

„*Tęga strzelba, prawdziwa to Saglasówka, Napis: Saglas London a Balabanówka. (Sławany tam mieszkał ślusarz, Polak, który robił Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił)*”.

Przysłowie to używa się żartobliwie o tył.

lichych wyrobach broni, które są znaczone jako angielskie.

Nawet Turczyn Aksakówny nie ima.

Antonina J. (achowiczowa) w „*Opowieściach historycznych*” na temat powstania tego przysłowia pisze: „*Po zdobyciu Kamiénca przez Turków (1672 r.), gdy wojsko rzuciło się na kobiety, wybierając szczególnie młodsze i piękniejsze, Gertruda, córka Axaka, panna leciwa, lecz płocha, chcąc uchodzić za młodszą szatę szkarłatną z wdziękiem układa niemałym i szpetną twarz okrywa zasłoną, sromając się niby oka ludzkiego. Rabusie muzułmańscy w liczbie innych kobiet, porwali także Ger-*

trudę. Bez rozpaczy i molestacji w jasyr szła zalotnica, aliści na drugi dzień, jak niepyszna, powraca do miasta, wymyślając na bisurmanów, którzy nawet poszturchali ją za to, że ich strojem swym okłamała. A jakiś wesoly mieszczanin, bo na takich w najsmutniejszą godziny nie zbywa, między ludzi puścił gadkę, którą długo powtarzano niby przysłowie” (j. w.).

Adam nie był szlachcicem, bo o nim śpiewają w „*Bogurodzicy*”: „*Adamie, ty Boży, kmieciu!*”

Autorem powyższego wyrzeczenia jest *Piotr Smolik*, głoszący swego czasu z dowcipu dwo-

zranien królów Stefana Batorego i Zygmunta III (zm. 1637 r.), dał on początek i kilku innym przysłowiom polskim. („Starożytności historyczne” Grabowskiego Ambrożego).

Go Anglik zmyśli, Francuz skreśli, a Niemiec doma nakrupi, wszystko to głupi Polak kupi.

Bez komentarzy!

L. Sk.

Dr WŁADYSŁAW BOGATYŃSKI.

Najmniejszy z Jagiellonów.

Rocznica zgonu i odkrycie grobowca Aleksandra Jagiellończyka. Badania naukowe tej postaci historycznej. — Czasy Olbrachta i Aleksandra. Cienie i światła w osobistości Aleksandra.

Kraków, 20 grudnia.

Dnia 20 sierpnia br. upłynęło 425 lat od zgonu króla Aleksandra Jagiellończyka. Równocześnie niemal odkryto w podziemiach katedry wileńskiej jego zwłoki. I to ostatnie wydarzenie zwróciło uwagę na rocznicę, a przedewszystkiem na tę postać historyczną.

Aleksander do niedawna nie był naukowo opracowany. Panowanie jego na Litwie (1492—1506) i w Polsce (1501—1506) znane było na podstawie przyczynków, pomieszczone w opracowaniach wypadków i postaci dziejowych, związanych z Aleksandrem. Praca bowiem Fr. Czernego: *Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra* (Kraków 1871) nie przyniosła nic nowego, ważne zaś dzieła Babrzynskiego (*Sejmy za Olbrachta i Aleksandra*), Bostela (*Elekcja Aleksandra*), J. Rutkowskiego (*Skarbowość za Aleksandra*) nie wyczerpały problemów, by można było oświetlić całość panowania Aleksandra. Dopiero wydanie *Aktów Aleksandra* i opracowanie ich przez dyr. Fryd. Papego (*Historja Polityczna Polski cz. I, r. 1920, wyd. Pol. Akad. Um.*) posunęło naprzód znajomość tego okresu dziejów naszych i dało pierwszą naukową syntezę panowania Aleksandra. Dalsze opracowania dał prof. J. Dąbrowski (*Dzieje Polski średniowiecznej*) i prof. O. Halecki (*Dzieje Polski pod panowaniem Jagiellonów w zbiorowym oprac.: Polska, jej dzieje i kultura*).

Czasy Aleksandra i jego brata, poprzednika na tronie polskim, Jana Olbrachta są niezmiernie ważne, bo stanowią przełom dwu epok. Dość przecież wspomnieć o procesie społeczno-politycznym, który zaczęły za Kazimierza Jagiellończyka trwać za obu jego synów i w rezultacie zamiast przetworzyć Polskę w państwo nowożytne rzucił podwaliny pod demokratyczną Rzeczpospolitą szlachecką z królem na czele o ustroju parlamentarnym, co oznaczała konstytucja „*Nihil novi*” z roku 1505. Albo w polityce zagranicznej, jakże doniosłą jest kwestja czarnomorska, pozostawiona przez Kazimierza Jagiellończyka następcom, skupiająca Krym, Wołoszę, Turcję i Moskwę przeciw Polsce i Litwie. Niepowodzenie wypraw Olbrachta na Turków, Ale-

ksandra na Krym wskutek machinacji Wołoszy i Moskwy udaremniło Polskę ubezpieczenie dostępu do morza Czarnego, a na Litwę sprowadziło wskutek ujawnienia jej słabości,

atak Moskwy, a w następstwie cofanie się państwowości litewskiej z ziem ruskich. Za to niepomysłny wynik wypraw czarnomorskich wpłynął na sformułowanie wewnętrznego stosunku prawnopństwowego Polski i Litwy do siebie, najpierw w formie ścisłego sojuszu w r. 1499, potem wznowienia unji personalnej (1501). Ten związek obu państw miał szczególniejsze znaczenie dla Litwy wobec agresywności Moskwy, której jednak nie przeszkodził zdobyć na Litwie dorzecza Dniepru (1503).

Ujemne naogół wyniki zarówno w przebudowie państwa, jak i w polityce zagranicznej rzucają także światło na osobistość Aleksandra. Na usprawiedliwienie jego należy podnieść brak warunków osobistych do spełnienia tak ważnych zadań, zwłaszcza wobec niepomysłnych warunków wewnątrz i zewnątrz krajów, nad którymi panował.

Był z sześciu synów Kazimierza Jagiello-

czyka najmniej uposażonym przez naturę. W przeciwieństwie do starszego brata, Jana Olbrachta, nie pociągał ku sobie, ani powierzchownością, ani obyczajami, ani umysłowością swoją. Był średniego wzrostu, o podługiej twarzy, ocienionej długimi włosami ciemnymi, silnej budowy ciała. Z usposobienia milczący i spokojny, chwiejny, pod względem umysłowym był najmniej inteligentnym i wykształconym z braci. Mimo edukacji Długosza i Kallimacha pisał „*jakąś chłopską, ruską, łaciną*”. Pierwszy jednak z naszych królów kładł swój podpis na aktach. Chociaż Krakowianin, nie ciągnął do Polski i Krakowa, do którego jako król cztery razy zawiątał, najpierw na koronację, której dopełnił brat królewski, kardynał Fryderyk, upamiętnioną minjaturami w *Pontyfikale Erazma Ciołka*, potem drugi raz i trzeci w r. 1503 i 1504; czwarty raz i ostatni przybył w r. 1505 z sejmu radomskiego, głośnego z przedłomowej ustawy „*Nihil novi*”, fundamentu parlamentaryzmu polskiego; leczyl się wtedy w Krakowie, ponieważ był *paralitikiem*. Wzajemnie i Polacy nie lgnęli do króla mimo szczodrości, posuniętej do rozrzutności. Czuł się jakoś swojsko w Wilnie, tam też najczęściej przebywał, tam życia dokonał i po śmierci pozostał. „*Ruskie dążności i sympatje oddzieliły go w następstwie od tchnień i natchnień zachodniej cywilizacji*... Nawet w rozrywce brak u niego urozmaicenia, jedy- ną niemal stanowiła muzyka.

Nie podobna jednak odmówić Aleksandrowi pewnych zalet, spośród których *sumienność i wytrwałość oraz uczciwość* były przeciwstawą tamym brakom umysłu i charakteru, a jeśli ich nie równoważyły, to w każdym razie każą obok niepowodzeń, których winę w znacznej części także ponoszą jego możnowładcy przeciwnicy, policzyć na dobro króla pomyślne wydarzenia, których on i przez niego trafnie dobrani doradcy byli sprawcami. Ostatnią zaś jego zasługą były zabiegły, celem zapewnienia bratu Zygmuntovi następstwa po sobie.



Krół Aleksander na tronie przyjmuje kanclerza Łaskiego. Drzeworyt z 1506 r.

RUDOLF WACEK (Lwów).

Zajac i polowanie na niego.

Jak to dawniej polowano. — Na zasludce i na deptaka. — Z psami. Z chartami i na podjazdke. — Ławą. — Polowanie gremjalne.

Kraków, 20 grudnia.

Dawniej, gdy tylko *oszczep i kusza* były w użyciu, gdy znano *sokoty* i *charty*, *zajac* był w pogardzie. Uganił za nim z chartami młodzi panice, polowali na niego dworscy słudzy lub płatne ciury. I rację miał poeta, który pisał:

„Siedzi zajac pod miedzą
Myśliwi o nim nie wiedzą”.

Zmieniły się czasy. Dziś nie ma już miedzy, pod którą schowałby się zajac — jak i niema strzelby, którą według Wojskiego „*szafabiono, sypiąc w nią śrót cienki*”. Zmienili się

i myśliwi, z których i najwybitniejsi strzelają do *zajacka śrótem* — zmieniły i rozszerzyły *sposoby polowania na szaraka*.

O tych sposobach pragnę kilka słów powiedzieć.

Wszystkie prawie sposoby polowania na zajacę podaje nam znany pisarz łowiecki *Wiktorek Stephan* w swej broszurze p. t. „*Zajac polski*” — 1905 r.

Polujemy więc: *na zasludce, na deptaku, z wyżem, z psami gończymi, z chartami, na podjazdke, wreszcie z naganą w lesie i w polu*.

Dwa sposoby polowania na zajacę są obecnie w opinii myśliwych bardzo ujemnie są-

EUGENJUSZ LAND (Częstochowa)

Zapomniane piśmiennictwo.

Najbardziej zaniedbaną dziedziną w historii naszej literatury jest niewątpliwie piśmiennictwo *ascetyczno-dewocyjne* XVII i XVIII w. W ostatnim czasie podniósł to mimoходом po raz pierwszy prof. Pollak w „*Pamiętniku literackim*”. Patrzymy ciągle na tę literaturę okiem wrogiego jej wieku *oświecenia*, zapominając, że w ataku pisarzy stanisławowskich, jak w każdej reakcji, było sporo *przesady i stronniczości*. O ile zerwiemy z nienaukowymi uprzedzeniami i przyjrzymy się temu piśmiennictwu z pewnych niezauważonych, zdaje się, dotąd punktów widzenia, to przedstawi się ono bardziej interesująco, niż to się dotychczas wydawało.

Okres to, jak wiadomo, rozkwitu i królowania *katolicyzmu* w całej Europie. *Polska* nie spóźniła się tym razem pod względem *politycznym*, ale opóźniła się, jeżeli idzie o rozwój *umysłowo-kulturalny*. Kiedy w XVII w. we Francji p. p. *św. Franciszek Salezy* występuje już przeciwko *wybujałościom ascetyzmu*, u nas zaczyna on na dobre dopiero panować.

Mamy błędne wyobrażenia, że niczego się prawie wtedy nie drukuje i nie czyta w Polsce. *Religijna literatura* ówczesna chciała się stać *strawą dla tłumów* i stała się nią od XVII w. poprzez czasy saskie, aż do końca wieku XVIII. Trzeba było stworzyć *codzienny* pokarm duchowy o poziomie, któryby nie przewyższył wymagań artystycznych uczestników częstych pielgrzymek, procesyj i nabożeństw. Może nie wskutek upadku sztuki drukarskiej, ale dlatego, by obniżyć koszt wydawnictwa brał autor-edytor lichę czeloni, tanich robotników i najmniejszy papier.

Nie dziwny się więc niskiej stronie *artystycznej i graficznej* tego piśmiennictwa. Miał to być przecież artykuł masowy, jarmarczny i odpustowy. I oto stanął przed kierownikami intelektualnymi tych czasów problem: *co i jak pisać* w dziedzinie religijnej, by trafił pod strzechy, jakby powiedział romantyk, by wyjść na ulicę, jak się mówi dzisiaj.

W jednej gałęzi twórczości religijnej zdobyła sobie z łatwością popularność, a mianowicie w spóźnionych u nas o tyle lat *widowiskach*. Ale to było *słowo mówione*. Przeciwnie temu słowu, które również pretendowało do rządu dusz, słowo pisane występowało z rozmaitych względów i dokazało swego: te pierwociny dramatu polskiego zostały *zakazane* przez władze duchowne.

Cięższy bój przyszło stoczyć z rywalką, walczącą tem samym narzędziem, t. j. *drukarnią*. Kupujący miał przecież do wyboru w tym samym kramie czy straganie „*przy Hiłpolicie Głos synogarlicy*”, jak mówi *Krasicki*, czyli przy fascynujących romansach „*gościńce cnoty*” lub też przy *pożytecznych, encyklopedycznych* kalendarzach „*zegarki miłości bożej*”. Kiedyż najnabożniejszy nawet szlachcic, a zwłaszcza szlachcianka kupi *ezhorty postne*, jeżeli może nabyć *historję o Magielonie* lub *zбір prognostyków* na cały okrągłutki rok? Wtedy, jeżeli okaże się, że exhorty i t. p. dzieła są równie interesujące, jak powieści lub też jeżeli się przekona czytelnika, że korzyści, płynące z pobożnych czytańek są nie mniejsze od tych, które się zawdzięcza kalendarzom.

Więc już w przedmowie czy dedykacji autor wychwalał nakładcę lub mecenasza za ten *świętyni uczynek*, jakim jest wydanie tego dzieła. A potem na każdej stronie wpał przekonanie, że nabożne rozmyślenia najdoskonalej utrzymują nabywcę w moralności, najlepiej zmażą jego grzechy oraz zapewnią mu powodzenie w tem *życiu* i *zbawienie* w przyszłym. W sposób intymny zwracał się

wprost do grzesznika, niemal zawsze tykając go. Dla osiągnięcia lepszego efektu wprowadzał specyficzną poufalskość, prośbę i groźbę przygotował właściwe przyjęcie dla swych grubych często foljów. — Takich korzyści nie dawała literatura świecka, a raczej wprost przeciwnie: łatwo było udowodnić, że dusza ponosi przez nią *uszczerbek*. Dziwnem nawet musi się wydawać, że nie wszystkie plody ówczesnych *Mniszkówn* i *Staszków* zostały wpisane na *indeks ksiąg niedozwolonych*. Powinni się o to byli postarać autorzy i wydawcy broszur i dzieł pobożnych, chociażby dla własnego interesu.

Bo trudno zaiste było walczyć z tym drugim elementem literatury świeckiej, z *fantastyką*, *zaciękwiającą* ogół. By zdobyć popularność, była tylko jedna droga: iść śladem konkurencyjnej twórczości i przeciwko podniecającym ciekawość „*gabinetom osobliwości*”, prezentowanym przez romanse, otworzyć własne kolekcje *sensacyjnych curiosów*. I otworzono je nie tylko w moralizatorskich romansach z życia świętych i nieświętych, ale i w *ściśle ascetycznych* dociekaniach: *akademjach pobożności, głosach do nieba, piśtoletach do zabicia grzechów* etc. Stało się to dla tych samych powodów, dla jakich *ważne moralitetu* przerywano *uciesznymi intermedjami*. Poruszono wszystkie sprężyny znane barokowi, nie do użycia przecież w naszych czasach przy tematach religijnych. Intrygowano czytelnika wyssaniem z palca, bo nawet nie, jak w średniowieczu, z *apokryfów* dodatkami; *motywy romansowe* adoptowano bez wahania nie tylko w *hagiografji* (żywoty świętych), lecz i w *deografji* (żywoty Pana Jezusa, Matki Boskiej).

By lektura mogła osiągnąć obydwa cele: *użytkarny i rozrywkowy*, opierano się mniej na własnych śladach twórczych, więcej na *analogicznem piśmiennictwie* Zachodu i to tylko na *wielkich* pisarzach, jak *Ludwik z Granady* lub *św. Teresa*, lecz również i to prze-

ważnie na *ptakach niskiego lotu*, których nazwiska nie nam dzisiaj nie mówią. Podstawy *ściśle dewocyjnych* szukano w księgach, które spisali *Androcy, Fontaine, Hugo Herman, Jan a Jesu Maria, Magni, Pinnelli, Pontanus* i wielu innych, stronę zaś *fantastyczno-sensacyjną* opierano w braku innych źródeł na *pseudo-mistycznych „objawieniach”* w rodzaju reprezentowanym przez interesującą zakonnicę hiszpańską, *Marję d'Agreda*.

Słusznie dopomina się prof. Pollak o *zbadanie stosunków* w tej dziedzinie, szczególnie w *Hiszpanji*, o czem nie pamiętają nawet nasi znakomici znawcy półwyspu pirenejskiego.

Ciekawą rzeczą byłoby też zbadanie *filjacji* ascetyzmu zachodnio-europejskiego za pośrednictwem *Polski na Wschód*, na co są dowody, z drugiej zaś strony nie trzeba też zapominać, że były (wyjątkowo wprawdzie) dzieła oryginalne pisarzy *polskich*, które *tłomaczono* czy wydawano zagranicą.

Twórcami tego piśmiennictwa jest *mieszczanstwo i szlachta*, ludzie duchowni i świeccy. Ci ostatni byli obznajmieni z całą — można powiedzieć — *techniką ascetyczną* tak dobrze, że nie odkryły dziś nawet specjalista różnicy między *tekstami* pisarza świeckiego i duchownego. W szeregach tych nie brak ani dyplomatów, ani hetmanów ani nawet królów: *Stanisław Leszczyński* wprawdzie już tylko jako *władca Lotaryngji* zdobył się na ogromne i okropne tłumaczenie *wierszem historii świętej*, co zresztą, jak się okazuje, nie przeszkodziło wcale *wolnomysłnym* jego poglądom.

Tak więc poza *znikomością watorów* czy *sto estetycznych* odstręcza badaczy *obfitość* tej literatury. Wszystkie działy *poezji* i *prozy*, olbrzymia *publicystyka* wymagają *przejrzania* i dlatego praca nad tem piśmiennictwem wymaga *niepospolitej cierpliwości*, na którą trudno się zdobyć, ale zdobyć się trzeba.



Zakładanie w czasie polowania polnego t. zw. kociolka. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa”.



Myśliwi na punkcie zbornym przed polowaniem.

dzone, a to *zasiadka* i *deptak*. Nasza nowa ustawa łowiecka wobec tych sposobów zajmuje również jasne i nieprzychylnie stanowisko.

Jak przeciwny jestem polowaniu *na deptaka*, którego ofiarą w październiku i listopadzie padają głównie *samice* — twardo w ciepłe dni dosiadające, tak *zasiadce* przypisywałbym nawet pewne zalety. Na *zasiadce* myśliwy widzi, co w lesie ma; zamiast zająca, często może strzelić szkodnika-lisa, kunę lub jastrzębia, a wreszcie i kłusownik nieraz zdąży do tego samego krzaczka, w którym siedzi już prawowity właściciel.

Na zające polujemy też z *gończymi psami*, a jak je dawniej w Polsce zwano *ogarami*. Gdy jednak gończym psem może być i wielki Burek, ogar może pochodzić tylko ze specjalnej rasy, dziś już na wymarcie. Gończe psy wyszukują zające i gonią go tak długo, dopóki myśliwy, podbiegający na głos gonu, nie przyjdzie do strzału. Trzeba się też dobrze orientować, gdzie zającowi czy też lisowi przeciąć drogę, by długim gonem psów nie męczyć. Jest to polowanie specjalnie górskie.

Do polowań na zające z psami należy również polowanie z *chartami* albo *konno*, albo *na saniach*. Zwłaszcza konno jest to polowanie wysoce sportowe, gdzie o dobrym wyniku decydują nie tylko siła i rączy bieg chartów, lecz i dobry moment puszczenia ich ze smyczy i umiejętność jazdy konnej. Polowania takie znamy już tylko z opisów, z ilustra-

cji, z „*Pana Tadeusza*”, w którym „*Kusy*” i „*Sokół*”, dwa rywalizujące ze sobą charty Rejenta i Asesora, wracają bez zająca:

„...zwołna skacząc przez zagony,
Spuścili uszy, tułą do brzucha ogony,
I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wznieść
(oczu
I zamiast iść do panów, stały na uboczu.”

W polu polujemy również „*ławą*” czyli t. zw. „*sztrafem*”. Jest to jednak zwykły *deptak*, gorszy przez to, iż tempo takiej ławy narzucają zwykle młodzi szybkobiegacze. Ława taka powinna mieć daleko wysunięte skrzydła, obsadzone również przez myśliwych i tu właśnie łowczy powinien wysyłać takich szybkobiegaczy, którzyby szli w



Bażanty i zające na rozkładzie.



Po skończonym miocie nagonka wychodzi na linję myśliwych.



Śniadanie myśliwskie w polu. I o nagonce nie zapomina się. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa”.



Śniadanie myśliwskie, podczas którego łowczy odczytuje wyniki polowania. Obrazek z polowań Lwowskiego Klubu Myśliwych „Ponowa”.

zawody z wymykającym się szarakiem.

W wyżej przytoczonych sposobach polowań na zające wystarczył jeden myśliwy; — pozostały nam *polowania gremjalne* z nagonką, inaczej prowadzone w lesie, inaczej w poprzeczne skrzydła zataczają dwa półkoła i gdy się spotkają, koło jest zamknięte. Wówczas w lesie myśliwi zajmują jedną stronę części, przeznaczoną do polowania t. z. miotu, z drugiej z krzykiem, gwizdem, z kołatkami, posuwa się równo nagonka i pędzi zwierzynę na myśliwych. Na skrzydłach stoją również myśliwi, którzy mają stanowiska albo *stałe*, albo *ruchome*. Taki sam rodzaj polowania można zastosować w polu, na którym jednak urządzi się zwykle *koła* czyli t. zw. *kociolki*. Z danego punktu rozchodzą się myśliwi w dwie przeciwne strony, poprzedzielani co kilkadziesiąt kroków nagonkami; dwa te czas wszyscy zaczynają iść promieniami do środka koła, strzelając do zającej, które się starają z takiego koła wydostać.

Z zagadnień współczesnej reżyserji. Jak naturalizm zdobywał scenę?

Pamiętniki Antoine'a. — Teatr urzędników gazowni. — Aktorzy i autorzy „Teatru wolnego”. — Technika naturalistyczna — „Comedie rosse”. Zapolska. — Pawlikowski. — Berlińska „Wolna scena”. — Brahm i Hauptmann. — Pierwsze kroki Reinhardta.

Kraków, 20 grudnia.

Ojcem stylu naturalistycznego w teatrze jest André Antoine, odnowiciel sceny francuskiej, dziś starzec z górą 70-letni, którego losy dzień po dniu teraz śledzić możemy dzięki jego niedawno ogłoszonym „Pamiętnikom” („*Mes Souvenirs sur le Theatre Libre*” u Fayard'a i „*Mes Souvenirs sur l'Odeon*” u Grasset'a).

Było to w latach osmdziesiątych ubiegłego stulecia, gdy wyrocznią nietylko dla Francji, ale także dla Europy, była „*Komedja Francuska*”, „*Theatre Français*”. Tu w nieprzerwanej tradycji, trwającej od dwustu lat, bo od czasów *Moliera*, pielegnowano styl *majestatycznych gestów i tonacji urczystych*, tu krążyły, niby w odświeżonym zrodzaku, *gwiazdy* pierwszej wielkości, z których niejedna, jak kometa ognista, przebiegała Europę: głodna reklamy i sensacji *Sara Bernhardt*, lew tragedji *Mouret-Sully*, mistrz komedji starszy *Coquelin*.

A jednak teatr ten nosił w sobie *zarodki śmierci*. Brak mu było tego, co jest jedynie duszą teatru i jego racją wobec współczesności: *repertuaru*. Grano autorów wczorajszych. Właśnie wrócił po roku 1870 z banieji *Wiktor Hugo*, a z nim powrotna fala szumnych, dumnych i pustych *Hernanich*. — A obok epigonów romantyki wszechwładna trójka: *Dumas, Augier i Sardou*, sztuka *konwersacyjna*, z której dawno już wywietrzała

wszelka krytyka etyczna czy socjalna, zostawiając tylko pogon za efektem i kasą. Daremnie walił *Zola* w tę twierdzę konserwatyzmu blokami swego cyklu *Rougon-Mackart*: wszechwładny w Paryżu recenzent, wujaszek *Sarcey*, bronil mu wstępu do teatru, wypędzając stamtąd równocześnie *Ibsena, Tolstoja* i autora „*Paryżanki*” *Henri Becque'a*. „*Stara generacja* była wyczerpana, ale trzymała się przy władzy zdecydowaną solidarnością. My młodzi staliśmy naprzeciw bezbronni i gryźliśmy wędzidła”.

Takimi słowy maluje sytuację we wspomnianych „Pamiętnikach” *Antoine*. Bez groźna w kieszeni, palony od dziecka gorączką teatru, zbliżał się do niego, jak umiał: biegał po najwyższych kondygnacjach galerji, był klakierem, statystą, słuchając równocześnie wykładów *Taine'a* i zaczytując się w *Zoli*. Wreszcie zdobył się na odwagę i zgłosił się jako kandydat do *Konserwatorium* (rządowa szkoła dramatyczna przy „*Komedji Francuskiej*”). Nie miał protekcji, więc spalono go przy egzaminie wstępnym, ale zato wzięto go do wojska. Gdy po kilku latach zrzucił mundur, szczęśliwy był, gdy znalazł nędzną posadę biurową w *gazowni miejskiej*, dorabiając jeszcze parę franków, jako pisarz sądowy. Ale namiętności do teatru pozostał wierny.

Urzędnicy gazowni mieli swoje *Kółko a-*

matorskie. Nazywało się „*Cercle Gaulois*” (Kółko galickie) i grywało w małej salce daleko za pierścieniem północnych bulwarów. *Antoine* został *kierownikiem* tej scenki. W sąsiedztwie grało inne towarzystwo amatorskie. W szlachetnej emulacji pragnął *Antoine* urządzić *premjerę literacką* z utworów nigdzie



ANDRÉ ANTOINE.

niegranych, na którą przysła także prasa. Dali mu swoje jednoaktówki trzej mało znani literaci: *Byl, Vidal i Alexis*. Ten ostatni był *przyjacielem Zoli* i uzyskał od niego udratyzowaną nowelę, odrzuconą właśnie przez teatr oficjalny. Miała tytuł „*Jacques Damour*”, *motyw* *Enoch Ardena* (znany też u nas dzięki „*Na zawsze*” *Luc Rydla*): mąż uznany za zmarłego, wraca po latach do domu i zastaje żonę, poślubioną innemu. Temat znany, ale traktowany tym razem inaczej, bez śladu sentymentalizmu, *jaskrawo*, prawie brutalnie, w *środo-wisku proletarjackim*.

Antoine prowadził próby z zapalem. Ale w trakcie tego zarząd *Kółka* zląkł się śmiałego przedsięwzięcia: skłonny był raczej wy-

cofać się z imprezy, oddając salę w dzierżawę. I dzięki temu oportunistom urzędników gazowni, młody ich kolega *André Antoine*, z grupą wspomnianych literatów i co śmielszych amatorów, uzyskał *wolną rękę* działania, nadał teatrykowi nazwę „*Teatru wolnego*” (*Theatre Libre*) i 31 marca 1887 r. od była się pamiętna *inauguracja*. Zjawili się przedstawiciele wielkich dzienników. Był też obecny *Zola i Alfons Daudet*. „*Jacques Damour*” odniósł *olbrzymi sukces*, a nazajutrz pisał „*Figaro*”: „W tym mieście, którego możliwości są niewyczerpane, znowu ktoś, może twórca, może szaleniec, zapalił jedno z tych *świątek*, od którego zaplonie kiedyś *luna jutrzenki albo pożaru*”.

Rozpoczęły się lata upartej walki. Niepowtórzonym w dziejach teatru przykładem stwarzał ten biedny urzędnik gazowni o własnych siłach *przewrót w teatrze*. Na drugim przedstawieniu, w maju tegoż roku, zagrał utwór popularnego na bulwarach satyryka, *Bergerat'a* (*Caliban*) i zyskał jego poparcie. Próbował oprzeć imprezę na jakichś takich podstawach drogą *abonamentu*, napisał własnoręcznie 1300 listów z propozycją i osobiście odniósł je adresatom. Abonament czyli subskrypcja miała między innymi tę dobrą stronę, że na zasadzie ustawy o zebraniach za *zaproszeniem* grać można było *bez cenzury*. W gazowni patrzano na tę rewolucję teatralną coraz nieufniej, czasu na pracę biurową miał *Antoine* coraz mniej. Porzucił więc posadę i oddał się całemu swemu powołaniu, choć nie miało ono jeszcze żadnych trwałych podstaw materialnych. Krytyka oficjalna nadal była *niechętna*. *Sarcey* pisał: „Jeżeli to jest nowa sztuka, w takim razie przybędzie ona nie wcześniej, aż ją odjadą”. Młodzi autorzy garnęli się, ale — jak zwykle — rychło obrażali się, kiedy się ich nie grało. Zresztą wśród naturalistów było więcej talentów no-

welstycznych, niż dramatycznych. Stąd nieuniknione tarcia, zazdrości, niechęci, nawet wśród młodych. Pięciu z nich ogłosiło protest, między innymi głośni później: akademik *Lavedan* i *Descaves*. Wiernymi pozostali wspomniani *Bergerat*, *Catule Mendés*, *Zola* i *Alfons Daudet* (ojciec głośnego dziś polemisty grupy „*Action française*”).

Antoine opuścił małą salkę i wynajął teatrzyk na *Montmartre*. A jednak nadal była to tylko grupa amatorów. W drugim roku istnienia protagonistami zespołu byli: szwaczka, telegrafistka, architekt, buchalter i kupiec win. I o tych właśnie amatorach, na których nie łożył krociowych deficytów żaden zarząd miejski, powiedział *Zola*: „Sądzę, że to są ci właśnie aktorzy, których brak dawno i gorzko odczuwaliśmy”. A gdy zespół ten, wyszedłszy poza udratyzowaną epikę francuską, zagrał w lutym 1888 mocny dramat naturalistyczny *Tolstoja* „*Potęga ciemnoty*” — triumf był zupełny.

„*Théâtre libre*” stał się modą stolicy. Tłoczyły się w nim tłumy snobów, znawców i entuzjastów, a choć Antoine ciągle jeszcze nie miał z niego żadnych zysków, cieszył się przynajmniej, że dochody jednego przedstawienia zapewniały spektakl następny. Zresztą zasada teatru repertuarowego nie pozwalała na powtórzenia „*serjowe*”, to znaczy wygrzywanie sztuki aż do ostatniego widza, jak to czynią np. nasze teatry miejskie, goniące (zresztą bez skutku) za kasą. Każdą sztukę powtarzał Antoine najwyżej trzy razy. Nie mógł zresztą grać codziennie. Nie było to więc przedsiębiorstwo dochodowe. Tyle tyl,



GABRJEŁA ZAPOLSKA.
Według portretu St. Janowskiego.

ko, że mógł już wynająć większą salę w centrum miasta, przy *Boulevard de Strasbourg*, gdzie grał *Ibsena*, *Hauptmanna*, *Strindberga*, *Björsona* i odkrywał młode talenty francuskie. Wśród tych ostatnich (*Barrés*, *Becque*, *Brieux*, *Coolus*, *Porto-Riche*) jego chluba jest zwłaszcza najgłębszy ze współczesnych pisarzy scenicznych, zmarły przed trzema laty *François de Curel*, późniejszy akademik.

Rozgłos „teatru wolnego” dotarł rychło za granicę. Już w dwa lata potem (1889) za jego wzorem powstała (z inicjatywy między innymi *Hardena*) berlińska „*Freie Bühne*”, (Wolna scena), która w manifestie swym wygłosiła tesame hasła: zerwanie z konwencją teatrów oficjalnych, osobiście z patosem epigonów romantyzmu, oraz prawdę obserwacji i przeżycia. To hasło prawdy czyli naturalizmu ma w teatrze dwa znaczenia: jedno dotyczy techniki aktorskiej, drugie repertuaru.

Co do pierwszej, to wtedy po raz pierwszy pojawili się na scenie aktorzy, którzy w prawdziwym pokoju mieszczańskim, wśród prawdziwych mebli chodzili z rękami w kieszeni, odwracali się tyłem do publiczności, rozma-



OTTO BRAHM.

wiali bez afektacji, nie monologowali do siebie, ani nie odzywali się „na stronie”, słowem, zachowywali się tak, jak gdyby czwartą ścianą sceny nie była otwarta na publiczność. Z czasem wszystko to stało się oczywistym, ba, z czasem zwyrodniało w nową konwencję („*gierki*”), często nieznośną. Ale wówczas był to przewrót dobroczynny dla teatru, zwalczany gwałtownie przez krytykę, która wdziała w tem *spospolitowanie* świątyni sztuki.

A co do repertuaru: był to repertuar *na prawdę współczesny*. Przeszono miód fikcyjne konflikty, które nikogo nie obchodziły. Zajęto się analizą piekących spraw społecznych, kolizyj rodzinnych, zawilęzanych kompleksów psychologicznych. Co prawda, i w tym kierunku przesadzono, mianowicie w atakach na obłudę etyki mieszczańskiej i bur-

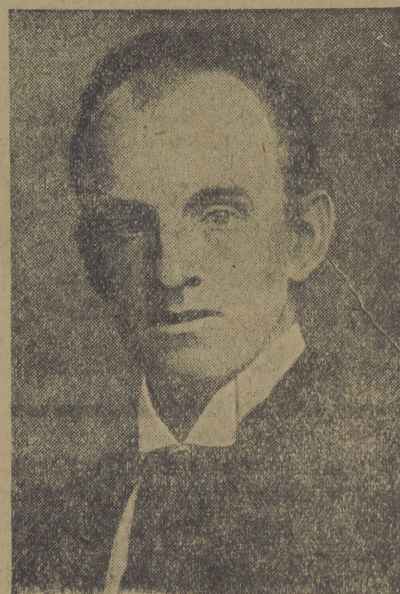
żuazyjną rodzinę. Dobrze wyobrażenie o takiej „*comédie rosse*” („*komedia zjadliwa*”) daje u nas *Zapolska*, (która pracowała jakiś czas u *Antoine'a*) i jej walka z *dulsczyną*. Ojciec, stary safandula, najchętniej siedzący w knajpie; matka łakoma na pieniądze, wulgarna i bez skrupułów; córeczka, kandydatka na kokotę, i synalek karciarz, goniący za posagiem — ten niewesoły „*przekrój życia*”, podany w intrydze, pełnej bezecnych kompromisów i handlowania sumieniem — to wszystko stało się także z czasem „*kliszą*” i konwencją. Ale wtedy był to pożądany *odczynnik* na zwietrzałe szablony i sztuczność



TADEUSZ PAWLIKOWSKI.

intrygi. *Zwyczajny człowiek* i jego równie *zwyčajna dola* zdobyły scenę i nie dały się już z niej wyprzeć.

Tosamo, co dla wyzwolenia teatru francuskiego *Antoine*, uczynił w Niemczech *Otto Brahm*, kierownik wspomnianej „*Freie Bühne*”, a u nas *Tadeusz Pawlikowski*, który *Antoine'owi* wiele zawdzięczał. „*Wolna scena*” berlińska rozpoczęła „*Upiorami*” (1889), zdobywając odrazu dla *Ibsena* Berlin i Niemcy, ale istotnym poetą tej sceny stać się miał młody *Gerhart Hauptmann*. Jakoż właściwą inauguracją był w tymże roku 20 października odegrany dramat socjalny *Hauptmanna* „*Przed wschodem słońca*”. Był to jeden z najdziwniejszych skandali, jakich widownią był kiedykolwiek teatr, a wiadomo, że skandalem rozpoczynała się zawsze w teatrze nowa epoka rozwoju („*Tartuffe*” *Moliera*, „*Hernani*” *V. Hugo*). Jaskrawy utwór *Hauptmanna* znany był już z wydania książkowego. Gdy więc w scenie jęków porodowych (dochodzących z za kulis) jeden z demonstrantów w krzesłach podniósł do góry kleszcze porodowe, wszczęła się dzika *bójka* na pięście i laski. W sztuce tej nie tylko poddano niszczącej krytyce rodzinę mieszczańską (jak w „*comédie rosse*”, w *Ibsenie* „*Norze*” i „*Upiorach*”), ale na deski sceniczne wstąpił też po raz pierwszy *proletariat* górników i parobków w



GERHART HAUPTMANN.

walce *klasowej* ze zubożonymi chłopami, pod których ziemią (na Śląsku) wykryto pokłady węgla. Poza wszelką agitacją programową objawilo się tu też właściwe *Hauptmannowi* *współczucie* dla cierpiącego człowieka, a w dialogu nie precyzja stylu *Ibsenowskiego*, lecz *konsekwentnie* naturalistyczne fragmenty, nieraz zdań codziennych, jakania i zamilczenia ludzi bezbronnych. *Sam Otto Brahm*, choć nie był właściwie reżyserem, to znaczy nie umiał a priori stawiać sztuki na nogi *jedną koncepcją* i do tej koncepcji zapalić aktora, to jednak dzięki wrodzonemu poczuciu *rzetelności* miał negatywny zmysł, wykluczający wszystko załgane i upozorowane: w ten sposób samorzutnie niejako, siłą doboru naturalnego, skupili się dokoła niego autorzy (*Schnitzler*, *Bahr*, *Hartleben*) i aktorzy, nastawieni na niepatetyczną prawdę życia i stworzyli styl epoki. W tym zespole znalazł się też młody *Maksymilian Reinhardt*, który na razie grywał znużonych, pobitych przez życie ludzi naturalizmu, zwłaszcza ludzi starych, ale w tym aktorze charakterystycznym dojrzał młodzięczy reformator teatru, który teatr ten miał poprowadzić w niedalekiej przyszłości we wręcz odmiennym, *antinatualistycznym* kierunku.

Sigma.

Ciekawostki etymologiczne.

Baba.

Baba — stara kobieta. Wyrażenie *pagardliwe*, *niegrzeczne*. Baba — to brzydki finał pięknej powieści, jaką jest *kobieta*. Uroczą niegdys uwodzicielką, dziś jest „*babą* o sie-

Wśród nowych książek.

Kraków, 20 grudnia 1931.

Juliusz Kleiner: ZARYS DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ, t. I. Od początków piśmiennictwa do końca rządów *Stanisława Augusta*, z 35 ilustracjami i 4 tabelami (w wydawnictwie: *Literatura polska dla klas wyższych szkół średnich* ogólnokształcących t. I cz. 2).

Podręczników historii literatury polskiej szkolnych i pozaszkolnych zaiste nam nie brak; przeciwnie, może ich jest nawet za dużo, a mnożenie się nowych, wydaje się tem dziwniejsze, że jak zagranicą, tak i u nas, ustalili się już poglądy, że znajomość dzieł reprezentatywnych i wiecznie aktualnych, umieszczona na tle historyczno-kulturalnym, powinna zastąpić w szkole dawną historję literatury. Jej podręczniki szkolne powinny więc przede wszystkim dawać owo tło i ograniczać się do jasnego oświetlenia postaci reprezentatywnych, o ile tego oświetlenia nie zawierająby już szkolne opracowania autorów, stanowiących obowiązującą lekturę. Jeśli uczeń czytał już np. *Pieśni*, *Treny* i *Odprawę* *Kochanowskiego* z odpowiednimi wstępami i objaśnieniami, to na co ma czytać jeszcze długi *ustęp* o *Kochanowskim* w jakimkolwiek podręczniku literatury, który mu na końcu zaleca czytać o tem jeszcze raz w wydawnictwach, objaśnionych przez X czy Y. Trzeba sprawę postawić otwarcie i wyznać, że podręczniki historii literatury pisze się poto, aby zastąpić wszelkie osobne wstępy i objaśnienia do wydań autorów; tych wydań z wstępami nietylko więc nie należałoby polecać, ale wypadaloby je prze-milczeć. Wystarczy czytać (tani) *tekst*, a resztę masz w *podręczniku literatury*! Idąc dalej na tej drodze, skupi się teksty w jakimś *Skarbczyku* (jak dawną „*Złota przedza poetów i prozaików polskich*”) czyli po prostu w — *Wypisach* i wróci się do tego, co było przed 50 laty, a czego zmianę uważało się za zdobytek pedagogiczną i dydaktyczną. Na razie zaczął się już *tep ruch usteczny*.

Te uwagi odnoszą się tylko do samego faktu wydania nowego podręcznika literatury polskiej, a nie do samego podręcznika, który już ze względu na osobę autora, zajmującego dziś

w Polsce bezsprzecznie pierwsze miejsce wśród historyków literatury, budzi duże zainteresowanie. Prof. *Kleiner* niedawno ogłosił po niemiecku szkic *Literatury polskiej* w *Handbuch der Literaturwissenschaft* i pokazał światu, co nowego wnieśli Polacy do skarbcza literatury powszechnej. Ciągłe porównywanie dzieł polskich z zagranicznymi miało zagrancy ulatwić podejście do nich, ale kto wie, czy zachowanie tej perspektywy nie byłoby się przydało i polskim czytelnikom nowego podręcznika polskiego. Przy jego pisaniu był jednak autor, jak przypuszczamy, skrupowany programem całego wydawnictwa, ułożonym przez dwóch innych firmantów, *Juljusza Balickiego* i *Stanisława Maykowskiego*. „W ograniczeniu mistrz się pokazuje”. I prof. *Kleiner* okazał się mistrzem w dostosowaniu się „do psychiki młodocianej i do postulatów dydaktyki i pedagogii współczesnej”. Szkic literatury i kultury średniowiecznej i humanistycznej do r. 1543 czyta się jak rozdział artystycznej powieści historycznej, a następnie podejście do *Reja*, *Górnickiego*, *Kochanowskiego* jest „*majstersztykiem*” pedagogicznym i dydaktycznym. Np. *Kochanowskiego* widzimy najpierw trochę podchmielonego, jak dobija się znaną fraszką do pokoju śpiącego doktora *Hiszpana*, a przy tym wesolym wizerunku poznajemy artystę, widniejącego w owej fraszce, poezją, jako środek wypowiedzenia treści osobistej, poczucie wartości poezji, jej możliwości, słowem całą poetykę renesansową w zastosowaniu do *Kochanowskiego*, poczem dopiero idzie szkic jego życia i „*rozbior*” jego dzieł. *Liryka* *Szarzyńskiego* wspomniana jest tylko jakby dla kontrastu z *liryką* *Kochanowskiego*. I znowu szeroki fresk *Skargi*, a po nim *Klonowic* i *Symonides* jako zamknięcie wieku złotego. Obraz jego pisany jest zaprawdę złotymi głoskami. Następny rozdział „*od Goffreda Piotra Kochanowskiego do walki Konarskiego z ciemnotą*” spełniłby lepiej swe zadanie jako opowieść w rodzaju tej, którą prof. *Kleiner* napisał o średniowieczu i renesansie; w obecnej formie za dużo w nim nazwisk i autorów. Dopiero epoka *Stanisławska* przedstawiona jest znowu z maestrią, równą przedstawieniu epoki złotej. Sześć kartek o umysłowości francuskiej od *Kartezjusza* do *Woltera* i *Rousseau* i o współczesnej myśli angiel-

skiej są wzorem, jak na szcuplej przestrzeni można wyłożyć rzeczy trudne (dla ucznia) w sposób przystępny, a nie bakalarski. Cała literatura i kultura *Stanisławska* zachowały i w opowiadaniu prof. *Kleinera* swój styl — dworski, a takie dostosowanie formy opowiadania do treści, każe uznać także literackie, artystyczne zalety *Zarysu*, godnego czytania przez każdego inteligenta.

Stanisław Wyspiański, DZIEŁA, tom VI. Fragmenty dramatyczne, w opracowaniu *Leona Płoszewskiego*, Warszawa, Biblioteka Polska.

Z pośród dwunastu fragmentów dramatycznych, objętych nowym tomem wydania zbiorowego, niemal wszystkie były już ogłoszone w całości lub w urywkach, tak, że rzeczy zupełnie nieznanymi, wydobytymi po raz pierwszy z tek pośmiertnych, tu niema. Te jednak, które dotąd ogłoszono tylko w urywkach, np. „*Rudera*”, „*Ajas*”, poznajemy po raz pierwszy w całej rozciągłości, a i te i wszystkie inne po raz pierwszy w tekście krytycznym, opartym o skrupulatne odczytanie trudnych nieraz rękopisów. Jako wydawca spełnił p. *Płoszewski* swój obowiązek znakomicie. Również jako komentator, egreseta. Siedmudziesiąt dziewięć kart jego *wstępu* przynosi wszystkie informacje, które narazie można było zebrać o czasie powstania i spisania poszczególnych pomysłów, ich podniętach wewnętrznych (problemy) i zewnętrznych (źródła) i ostrożne kombinacje co do rekonstrukcji całości pomysłu. W niektórych fragmentach było to możliwe dzięki zachowaniu spisu osób, aktów lub scen; w innych (historycznych) przez skonfrontowanie ich przez wskazaniem przez poetę lub wyszukaniem przez autora źródełami, które wskazują nietylko, co miało być przedmiotem scen, zaznaczonymi tylko tytułem scenariusza, lecz także np. nieznanymi finałami.

Scena z tragedji antycznej o *Ajasie*, pierwszy akt i fragmenty 2-go i 3-go z dramatu renesansowego o *Michale Aniele*, *Rafaelu* i *Juljuszu II* („*Juljusz II*”), fragmenty i scenariusze czterech dramatów z historii polskiej („*Piastowicze*” o synu *Bolesława Śmiałego*, *Mieszku*, otrutym przez *Władysława Hermana*; „*Król Kazimierz Jagiellończyk*”, „*Jadwiga Hedwiga*”, „*Samuel Zborowski*”, „*Zygmunt August*”), je-

den warjant na temat *Szekspira* („*Śmierć Ofełji*”), fantastyczna scena spotkania *Konrada* — *Mickiewicza* z *Goethem* i *Mefistem* w *Wejmarze*, napisana po niemiecku („*Wejmar, 1829*”) i fragment dramatu fantastycznego o ruinach wawelskich („*Rudera*”), oto treść fragmentów, których poznanie prawie zawsze daje laikowi mnóstwo wrażeń estetycznych, jako to są przeważnie *disiecta membra* arcydzieł, a badaczowi pozwoli uzupełnić obraz twórczości największego dramaturga polskiego barwami, dotąd przeważnie niewyzyskanymi. Teatr prócz „*Zygmunta Augusta*”, fatalnie zradzonym w audycji lwowskiej w Wielką Niedzielę 1930, powinien przy rozmaitych sposobnościach odgrywać „*Śmierć Ofełji*”, pierwszy akt „*Juljusza II*” i „*Wejmar*” w odpowiednim przekładzie polskim.

Dla badacza *Wyspiańskiego* wprost nieoceniony jest też *Dodatek*, przynoszący spisy młodzieńczych utworów i pomysłów i wiadomości o pomysłach dramatycznych i utworach zniszczonych. Przedmiot *Danaid* i *Hioba* (z r. 1891) określają tytuły. O *Fantastach*, włączonych do trylogji: *Podzamcze*—*Wawel*—*Idea* (z r. 1892) wiemy coś od *Opieńskiego* i *Maszkowskiego*. *Wanda*, w której *Rydygier* mówił po niemiecku, przemieniła się później w *Legendę*. *Popiel* miał użytkować wrażeń poety z nad *Gopla*. Do *Kwiatu ciepłarnianego* odnosi wydawca notatkę *Feldmana* o bohaterskiej komundacie, gromiącej rozmaite kłamstwa. Kto wie, czy to nie ta sama dziewczyna lekkich obyczajów, która (według relacji *A. G. Wysockiego*) wyrzucona wieczór z domu, błąkała się po zaułkach *Krakowa*, została aresztowana, a rano wypuszczona, spotkała na plantach *Ogrodnika* i poznała w nim *Zbawiciela*. Sprawnie brzmią relacje o *Roku 46*. Nie uwzględniono przytem rodzinnej tradycji *K. Stankiewicza*, wuja poety. O *Zegarze słonecznym*, w którym główna rola przypadła *Aniołowi* *Luczniakowi* z wieży wawelskiej, opowiada *B. Rażyński*. *W. Feldman* zanotował plan *Dramatu współczesnego* na temat spowiedzi samobójcy; był już *Faustem*. *Napoleonem*, *Kolumbem* — *Nowej Polski* i od niej ucieka, a miłość prowadzi go do krainy *Piekna* za grobem. Najdokładniejszy jest plan *Sądu ostatecznego*, odpowiednika do *Nieboskiej* *Krasieńskiego*. Wszystkie te materiały już dziś rozszerzają i pogłębiają naszą znajomość twórczości *Wyspiańskiego*, a gdy

dmu krzyżkach, bez zębów i ślepa“. Używa się też pogardliwie o każdej kobiecie; następne przysłowia dosadnie to ilustrują: „Gdzie djabeł nie może, tam babę poszle“, „Mała baba jak palec, a zła jak padalec“, „Łacniej się zegarków, niż dziesięć bab zgodzić“, „Babi naród zawsze chytry“ i wiele innych, co jedno to mniej pochlebne.

Wśród ludu *mężatki* nazywają „babami“, np. „Skoro dzieweczce czepiec włoża, już ona baba“, wyrażenie: „babę braci“, oznacza — żenić się.

Baba znaczy również *zebraczka*, kobieta uboga, biedna, np. „Baba z pod kościoła“, „Przyszła baba po prośbie“.

Babą zwiemy też kobietę, sprawiającą kłopot, *krępującą*, np. takie przysłowie: „Tylko kłopot z babami“, „Baba z wozu, koniom łzej“.

Babą jest często *posługaczka*, wyrobница — „Baba do postóg“, „Baba do mycia podtóg“.

O *przekupkach* mówi się też: „kłocą się baby na rynku“, czasem znów odróżniamy *wieśniaczkę*, kobietę wiejską, która przybyła z produktami na rynek od *przekupki* i mówi się wówczas: „kupować u bab korzystniej, niż u przekupek“.

L. Karski.

WITOLD NIESIOŁOWSKI.

Z życia małpki.

Hanka. — Spokojny tryb życia. — Fikle i popisy akrobatyczne. Ciekawość i naśladowictwo. — Małpka kominiarzem.

Kraków, 20 grudnia.

Wybaczenie, piękne Hanka i Haneczki, że osmieliłem się nadać *małpeczce* słodkie imię „Hanka“. Proszę jednakże spojrzeć na to sympatyczne pysio, na te mądre oczka, fryzurę z rozdzialkiem na środku głowy! Czyż to nie jest miłe stworzonko, czy nie zasługuje na piękne imię? Zresztą, stało się, małpka nazywała się Hanka i to już teraz zmienić się nie da.

Wielkości niedużej *kotki*, była szara z bledo-niebieskimi pierściami i brzuszkiem. A *rączki* miała — śmiało można powiedzieć — *arystokratyczne*, wąskie, o długich paluszkach, paznokietki, jakby dopiero co wyszła od manikurzystki. Wprawdzie *rączki* te były z wierzchu kosmate, a dłonie koloru niebiesko-szarawego, ale to już widocznie taka moda u małpek. Również *małpia* modą nosiła Hanka z sobą *ogon* i to nie bylejakim, bo bliźko *dwa razy* dłuższy, niż ona sama była.

Kupiła ją moja żona od jakiegoś Włocha, który widocznie obchodził się z nią nie bardzo delikatnie, gdyż skoro tylko żona moja wzięła ją na ręce, przytuliła do siebie i pogłaskała, już Hanka nie chciała więcej znać swego dawnego pana, nie pozwoliła mu nawet zbliżyć się do siebie, a tylko stroiła do niego przepocieszne miny, mające prawdopodobnie wyrażać *gniew*, *pogardę*, czy jakieś *małpie* przekleństwa. Przyniesiona do domu, rozgościła się natychmiast, czuła się jak u siebie, widocznie uszczęśliwiona swoim nowym gospodarstwem, gdyż co chwila rzucała się na szyję to mej żonie, to mnie, ścisłała i z ogromną swadą coś opowiadała, prawdopodobnie o swych dotychczasowych przeżyciach i o tem, co się jej u nas bardzo podoba.

Przez dłuższy czas żyliśmy z Haneczką w

ogromnej zgodzie i przyjaźni. Biegała po całym mieszkaniu, każdy przedmiot musiała *obejrzeć* dokładnie, *wziąć do ręki*, wszędzie jej było pełno i na ziemi i w powietrzu, gdyż nie wystarczała jej podłoga i sprzęty, po których



Małpka „Hanka“ gniewająca się.

chodziła, ale odbywała też *podróże powietrzne*, *skacząc* np. z karnisza nad oknem na zegar ścienny, stąd na dużą lampę, wiszącą na środku pokoju, to znowu na szafę czy inny sprzęt. Wprawdzie te popisy akrobatyczne Hanka nie zawsze była dla sprzętów zdrowe, ale za te psoty i drobne niewygody mieliśmy przez cały dzień przedstawienia cyrkowe, kino, przedstawienia zawsze o programie pierwszorzędnym, całe dnie śmiechu i wielkiej uciechy. Przywołana, przybiegała zaraz, a często nawet z własnego popędu wyskakowała żonie mej na ramię, obejmowała ją *rączka-*

mi za szyję, przytulała swoje pysio do twarzy, pieściła się jak dziecko i zawsze coś bardzo ciekawego opowiadała.

Wczesnym wieczorem usadowiała się *do snu*, najczęściej na sztaludze malarskiej, stojącej w kącie pokoju, z czasem jednakże zrobila odkrycie, że się dużo wygodniej i cieplej śpi u mnie „za pazuchą“, rozpięta mi bez ceremonii kamizelkę, włożyła za koszulę i spokojnie spała, a gdy mnie zkołei sen zmorzył, gdy wybierając się do łóżka chciałem ją przed tem usunąć, umykała pod koszulę



Plk. Witold Niesiołowski, autor niniejszego artykułu, z małpką „Hanką“ na ramieniu.

na moje plecy, skąd można ją było wyciągnąć dopiero po moim całkowitem rozobraaniu się. Na noc wsadzało się ją do dużej *klatki*, a czasem trzeba było sprawić jej te przykrości i za dnia, aby całego domu nie wywróciła do góry nogami, gdyśmy oboje wychodzili do miasta.

Jadła przeważnie *ryż surowy*, ale także *orzechy*, *owoce*, *cukier*, lubiała pasjami *surowe jaja*, nie pogardzała też *trunkami*, jak piwo, wino lub wódka. Ucieszenie wyglądała, gdy jej podano *wisnie*, z których wkładała od razu 5—6 do ust, wypychając nimi policzki i zuchwy, przyczem wyglądała, jak wielce poważny portjer z ogromnymi bokobrodami.

Z czasem, gdy już poznała wszystko, co w mieszkaniu gdziekolwiek stało, leżało czy wisiało, zaczęła się interesować *szufladami* i innymi *skrytkami*, co zaczęło nam być nieprzyjemne, gdyż często robiła *znaczne szkody*. Chcąc wszystkie jej sprawy opowiedzieć, trzeba by całą książkę napisać, muszę się przeto ograniczyć do opowiedzenia tylko kilku, jakie mi szczególnie w pamięci utkwiły.

Hanka, na którą doprowadzony nieraz do t. zw. szewskiej pasji, jakąś *szkodą* wyrządzoną przez nią, wołała: *Ty małpo przeklęta, ty małpizonie*, lub krótko *piszonie* — które to ostatnie przezwisko przyłgnęło do niej z czasem jako drugie imię — interesowała się ogromnie wszystkim, co ktoś z nas robił i starała się to *naśladować*. Naśladowa-

nie to było jednak zawsze zaprawione *prawdziwie małpim humorem* i było raczej *zgrabną przeróbką*, gdyż potrafiła ona ze sprawy poważnej zrobić z *łatwością humoreskę*, z czegoś zupełnie obojętnego *tragikomedję* czy *dramat*.

Zatopiony w rozłożonej przed sobą gazecie, zaś żona moja zajęta jakąś robotką, nie zauważyliśmy, że *Hanka-Piszon* znikła nam na chwilę z oczu. Po jakimś czasie wyszedłem do drugiego pokoju i zobaczyłem *Piszona* na biurku mej żony, nalepiającą z ogromną powagą *znaczki pocztowe* na papierach wyciągniętych z szuflady, na książkach i t. p. *Znaczki pocztowe* schowane były w osobnej kopercie i włożone do pudełka między papiery listowe, co *szelma Piszon* podpatrzyła, aby się potem zabawić we *frankowanie*. Innym razem zabrała się *do pisania*, wyjęła z szuflady *biurka* *fłaszki* z atramentem, wyciągnęła *korkek zębami* i wzięła się do pisania, maczając *palec w atramencie* i smarując nim *biurko*, *pudełko*, *papiery*, wszystko co jej pod ręce spadło. Gdy żona moja weszła do pokoju, spostrzegła co się dzieje i zawołała na nią, Hanka czując, że zrobiła coś złego, *palnęła* *fłaszki* z atramentem na dywan, sama zaś w jednej chwili znalazła się na szafie. Jak wyglądał dywan po rozbiciu na nim całej *fłaszki* z atramentem, można sobie wyobrazić. Na krzyk żony wpadłem do pokoju, a widząc dywan zniszczony atramentem, wzięłem *rozgę*, aby *Piszona* skarcić i przetrześć mu *skórę*. Ale jak tu złapać takiego *djabła*, jak go dostać w ręce? Gonilem za nią chwilę, ale że nie mogłem skakać po szafach, zegarze, lampie czy piecu, musiałem więc, chcąc nie chcąc, odłożyć ukaranie jej na stosowniejszy moment, a *Piszon*, siedząc na piecu, stroił do mnie takie *komiczne miny*, tak się mi przekrzywił i wymyślał po *małpiemu*, że mimo *wścieklej irytacji*, zacząłem się szalenie śmiać, w czem mi żona moja serdecznie pomagała. A zresztą — później — jakże takie *małeństwo* bić? Tem więcej, że Hanka *wykalkulowała* widocznie po mojej minie, że *burza* przeszła, *machnęła* się *najkrótszą drogą* z pieca na lampę, stąd na stół, wreszcie na moje ramię i dalej mnie ścisłać i przepraszać i przymlać się.

Służąca wyniosła materace z łóżek do przedpokoju i położyła je na podłodze przed lustrem tak, że *stoł* cały dostawał do wysokości *ramy*. Dla Hanka nowości, dalej więc, wysmyknęła się z pokoju, jednym susem była na materacach. Wybiegłem za nią, ale niestety o parę sekund za późno i tylko widziałem, jak Hanka z *groźną miną* skoczyła głową naprzód na swego przeciwnika, który się jej ukazał w lustrze, a którym było jej odbicie. Szkło lustra było cienkie, więc rozleciało się w kawałki przy uderzeniu głową *małpki*, ale uderzenie było widocznie dość silne, gdyż *Hanka zemdlala*. Zamiast jej *skórę* prze-

zostaną w dalszych tomach pomnożone nowymi materiałami lirycznymi i epistolograficznymi, będzie można przystąpić do opracowania jakiegoś dzieła syntetycznego.

Bronisław Rakowiecki, komentarz prawnika do prologu „Nocy listopadowej“ Wyspiańskiego, Łódź, nakładem Autora.

Prawnicy nieraz zabierali głos w sprawie *szczególności* jurydycznych w *Eschylosie* czy *Shakespeare*, a nawet Wyspiańskiego *Kłatawę* i *Sędziami* zajmował się z tego punktu widzenia prof. *Gołęb*. P. Rakowiecki, wbrew tytułowi swej rozprawki, nie daje do *Nocy listopadowej* komentarza prawniczego (bo po prawniku spodziewamy się takiego), tylko — *alegoryczny*. Alegorja wychodzi, jak wiadomo z założenia, że poeta co innego mówi, a co innego myśli i dlatego słowa jego mają poza werbalnym innym, głębszy sens. Prawnik stara się wyjaśnić głębszy sens *Pallady*, *Nik*, *Aresa*, częścią z pomocą fantastycznych etymologii (jako greczyzta, stwierdzam ich fantastyczność), częścią z pomocą astrologii, częścią z pomocą historii polskiej. Jeden szczegół: Nika Termpil przypominała Wysockiemu Warnę (od warów, źródle gorących): to samo znaczą Termpile, a nadto bitwę pod Lignicą i pod Cecorą; Wyspiańskiemu przypominała bój o Olszynkę, gdzie po stronie rosyjskiej walczyły pułki strzelców, wstawione zdobyciem Warny na Turkach w r. 1828. Takie i tym podobne fantastyczne kombinacje prowadzi autora do propozycji (na str. 54) by przy przyszłych przedstawieniach przebrać Nikę z pod Maratonu za Krakusa-Kosyniera lub Ułana z r. 1831 z lancą, Nikę z pod Salaminę za Czarnieckiego, z pod Termpil za husarza z tarczą (na niej krzyż), Nikę Napoleoniczną za ks. Józefa Poniatowskiego, Nikę z pod Troi za Emilię Plater (wojenie Grażyny, pod której maską ukrył poeta królową Jadwigę), Nikę z pod Cheronei za szaraczka z Mazowsza w maciejówce... Nie chcę proponować, za co trzeba by „wytyli zować“ autora takiego komentarza i stwierdzam tylko, że nawet w literaturze o Wyspiańskim, mającej od S. Lacka dziwnych hierofantów, jest to — rzecz nie do wiary.

Juljusz Kaden Bandrowski, ZA STOŁEM I NA RYNKU, Lwów, Ossolineum.

Na nowy tom prozy Bandrowskiego złożyło się 39 artykułów literackich i 12 legionowowspomnieniowych, bo trudno powiedzieć propagandowych. Wspomnienie o Konarach czy mowa imieninowa z 19 marca 1931 (solenizant bawił na Maderze), wskazują kierunek tej drugiej grupy utworów, którą autor umieścił „Na rynku“. Grupa pierwsza „Za stołem“ obejmuje trzy działy, z których ostatni otrzymał od kierownika poradni literackiej w „Literackim Głosie Prawdy“ tytuł „Przy warszacie“, choć w tym warszacie opracował także mowę radziecką o przemianowaniu Placu Saskiego na Plac Piłsudskiego i mowę za subwencją miejską dla szkół muzycznych i mowę w setną „stuletnią“ (!) wydrukowano na str. 226) rocznie powstania listopadowego i powitanie zjazdu Unji intelektualnej w Krakowie imieniem Polskiego Klubu Literackiego i feljton sylwestrowy (na nowy rok) i feljton gwiazdkowy i artykuł jubileuszowy o Aleksandrze Michałowskim. Najwięcej „literatury“ (poza Naszą Freblówką literacką) dotyczą dwa świetne artykuły o *Sieroszewskim* z okazji jego jubileuszu. Charakterystyczny dla Bandrowskiego jest opis jubilat: „Głowa tego pisarza jest pomierną, w kształcie nieosobliwa, w ogólnym charakterze raczej przydatna niż piękna, u nasady karku podjęta grubymi bliznami“. Dalej idzie opis czoła, fryzury, oczu, nosa, oddechu, ust z węsami... Bandrowski pokazuje nam zawsze osobę, o której coś mówi, bo u niego szczegół, konkret stanowi zawsze muirowaną podstawę do wszelkich dalszych poczyniań literackich. Jeśli ma mówić o znaczeniu książki, to opisz trzy rodzaje książek w swojej bibliotece. Rozmyślając nad zmiennością wszystkich, pragnie, aby „mógł poznać choćby na przeciąg jednej sekundy, bym mógł doświadczyć — istotnej rzeczywistości“. Problemy ogólniejsze, np. *Co to jest romantyzm?* rozpadają mu się na szereg różnorodnych szczegółów i nie krystalizują się w jakiejś ogólnej definicji czy formule. Wstępna rozprawa o romantyzmie jest słaba i bezowocna, a nie lepsza przedmowa do Pana Tadeusza na filmie lub oświadczenie o *Słowackim*, *Wyspiańskim*, *Sienkiewicz*. Autor ich nie widzi. Ale niechno go wesprą osobiste wspomnienia, to artykuł o *Micińskim* (Pisarz odświętny), *Zeromskim*, *Daniłowskim*, *Słońskim*, *Przybyszewskim*, *Orkanie*, wypadnie bystro i żywo. Niemniej bardzo tak-

towne i ujmujące są wystąpienia autora na terenie między-literackim zagranicą. „Wśród obcych“, jak „Wśród swoich“, to wybrane szkice literackie, obciążone ze względu wydawniczych dwoma dalszemi działami, które są raczej *publicystyką* niż literaturą.

R.

Jan Stanisław Bystron: „SZKOŁA I SPOŁECZYSTWO“.

Prof. Uniw. Jagiell., dr. J. Bystron, który niedawno z dziedziny *etnografii* i *etnologii* przesiedlił się do ziemi obiecanej *socjologii*, zadebiutował w tej dziedzinie dziełem, które od razu stawia go w pierwszym rzędzie *socjologów* polskich.

Wymienione w nagłówku powyższych uwag dzieło prof. Bystronia o *socjologii szkoły*, stanowi w naszym piśmiennictwie nowością całkowitą tak pod względem wyjściowych stanowisk badawczych, jak pod względem niezwykle szerokiej skali, w jakiej problem *socjologii szkoły* został przezeń ujęty.

Autor rozpatruje problem *socjologiczny* szkoły z dwóch zasadniczych punktów widzenia: *selekcji społecznej*, więc szkoły jako czynnika doboru grupowego i przechodzenia od jednej grupy społecznej do drugiej, tudzież *selekcji biologicznej*, więc wpływu szkoły na rozwój fizyczny i losy życiowe przechodzących przez nią pokoleń.

Niesposób wdawać się na tem miejscu w obszerniejsze omawianie i streszczanie tego dzieła wielkiego nie tylko rozmiarami, lecz także włożoną w nie pracą i wiedzą. Autor wyzyskał w niem i uwzględnił całą nowoczesną i współczesną literaturę przedmiotu we wszystkich głównych językach europejskich, obok zadań samodzielnego badacza i nauczyciela, spełniając także w znakomity sposób w tym ważnym zakresie misję umiętnego, ścisłego i krytycznego pośrednika między czytelnikiem polskim a całym opowieśniami wyciemni nauki i myśli nowoczesnej w świecie cywilizowanym.

Przy całej stuprocentowej naukowości dzieła, jest ono łatwo dostępne, zaleca się niezwykłą jasnością wykładu i przejrzystością układu niemniernie bogatej i różnorodnej jego materji.

Księga wydana przez Naukowe Tow. Pedagogiczne starannie tak, że dzieło prof. Bystronia nie tylko pod względem treści, lecz także i swę-

żaty typograficznej ma wszystkie cechy europejskiego.

Jan St. Bystron: „SOCJOLOGJA“ — WSTĘP INFORMACYJNY I BIBLIOGRAFICZNY.

Rozpoczynając systematyczne wykłady z dziedziny *socjologii*, prof. Bystron postąpił ze wszelkim miar trafiając, publikując tę niewielką stosunkowo (148 str.), ale ważką pracę. Socjologia bowiem jest nauką tak młodą, a w ostatnich, szczególnie powojennych latach, rozwijającą się tak szybko i prawie burzliwie, że każdy jej adept, pukający dopiero do ciężkich jej wrzesiędzów, staje przedewszystkiem wobec niepokonanej prawie trudności, od czego zacząć, jaką wytknąć sobie drogę dla dalszych studiów, przedewszystkiem zaś dla zwyczajnego zaznajomienia się z literaturą przedmiotu.

Informacyjne przewodniki w tej dziedzinie — starszy *Squillacego* i nieco młodszy, ale także już przestarzały *Bartha* — oba wydane jeszcze przed wojną, mają dzisiaj znaczenie już właściwie tylko historyczne. Socjologia bowiem zarówno w swojej części ogólnej, jak szczególnie w dziedzinie opisowo-monograficznej rozwinięła się po wojnie tak bujnie i wielostronnie, że do orjentowania się w tym rosnącym gąszczu potrzeba już całkiem nowych przewodników.

Po bardzo krótkim wstępie, dotyczącym przedmiotu *socjologii* w najogólniejszym ujęciu, prof. Bystron w dziełku swoim przechodzi od razu do wyliczania i omawiania najważniejszych dzieł literatury *socjologicznej*, najpierw ogólnych, a potem specjalnych, poświęconych już poszczególnym grupom zjawisk *socjalnych* i szczegółowym zagadnieniom *mechaniki życia społecznego*. Dzieło prof. Bystronia jest więc raczej rozumowaną *bibliografią socjologii*, przedstawianą z *uważliwym* *temu autorowi jasnością wykładu* i *racjonalnością układu treści*. Jakkolwiek zatem nie jest to dzieło w ścisłym tego słowa znaczeniu badawcze, to jednak jego znaczenie dla *socjologii polskiej* jest ogromne, czyni ono bowiem zadość tej fundamentalnej potrzebie każdego początkującego poznania aktualnego zasięgu wybranej przez siebie nauki i zorientowania się w jej dotychczasowych zdobyczach, czy chociażby tylko próbach i usiłowaniach.

K. S.

trzępać, trzeba ją było ratować, cucić, zlewać wodą, a na dobiełek i żona moja w przerażeniu, że Hanka się zabiła, zaczęła mdleć, słuchająca wrzeszczeń — piekło, nieszczęście, rozbite lustro, czyli według orzeczenia służącej miało wróżyć jakieś nieszczęście... no i znów Piszon wyszedł bezkarnie.

Z nastaniem lata i ciepła kazała żona moja z pokoju gościnnego, który i tak rzadko był używany, powynosić pościel i wszystkie drobniejsze przedmioty tak, że pozostało tylko łóżko, stół i parę krzeseł. Postanowiliśmy zostawić tam Hankę w razie naszego wyjścia z domu, aby jej nie męczyło zamykaniem w klatce. Do pokoju tego wstawiło się jeszcze drabinkę, parę żerdeł, przeciągnęło się sznur od bielizny od ściany do ściany i t. p., aby Hanka miała zabawę i mogła uprawiać swoje sztuki cyrkowe. Zauważyliśmy, że nowość ta sprawiła jej prawdziwą przyjemność, więc wyszliśmy spokojnie do miasta. Naturalnie, że po powrocie pierwszą rzeczą było zaglądnąć do Hanksi i przywitać się z nią. Wchodzimy oboje, rozglądamy się po pokoju, szukam pod łóżkiem, za piecem — Hanksi niema, przepadła. Wołamy więc oboje, Hanka! Hanecka! jak tylko można najśłodziej,

wreszcie po chwili wychyla się ten djabeł z pieca i już siedzi na ramieniu mej żony, ścisną ją, obejmując, rzuca się potem mnie na szyję — radość ogólna. — Nagle spojrzalem na mą żonę i zdębiałem. Cała twarz, szyja, ręce w czarne plamy i pręgi, bluzka letnia biała usmarowana popiołem i sadzami; z kolei żona moja otwiera szeroko oczy, patrząc na mnie umazanego, jak nieboskie stworzenie. Sytuacja była tak szalenie komiczna, że zapomnieliśmy o gniewie i szkodzi, obiecując sobie tylko na przyszłość więcej ostrożności.

Następnym razem zamknąłem dobrze drzwiczki od pieca, przymocowałem jej drutem tak, że otwarcie ich przez Hankę było niemożliwością. Wyszliśmy z domu spokojni i pewni, że poprzednia historia nie powtórzy się. No tak, poprzednia, niezupełnie, ale od czegoż Hanka, żeby nie wymyśliła jakiegoś nowego psikusy? Wracamy do domu, wchodzimy do pokoju Hanksi, ale znowu gdzieś przepadła. Nauczani ostatnim wypadkiem, cofnęliśmy się oboje przezornie ku wyjściu, prosząc ją znowu jak najśłodziej, aby raczyła się pokazać. Hanecka! Hanecka! — Coś zaszeleściło w górnej części pieca. Spoglądamy w tę stronę i o zgrozo! z rury blasza-

nej, łączącej piec z kominem ukazuje się głowa Hanksi, czarna zupełnie od sadzy, a tylko się jej śleпка świecą. Istny djabeł! Ale już byliśmy oboje za drzwiami, zatraskując je śpiesznie za sobą, uradowani, że się nam tym razem tak szczęśliwie udało uniknąć uścisków Piszona.

Trzeba było jednak wydostać Hankę z zamkniętego pokoju, nie narażając się na usmarowanie sadzami. Ale jak? W tem sęk! Wreszcie żona moja wpadła na dobry pomysł; kazała zagrzać wody, nalać do cebrzyka i wstać Hance do pokoju. Kąpiel lubiała ona bardzo, więc chlupnęła od razu do wody i dalejże nurkować, pluskać się, z czego skorzystała moja żona, przebrana już odpowiednio do tej operacji, chwyciła ją i wyszorowała porządnie.

Pewnie jeszcze nie raz byłaby nam Hanka zalała sadzą na skórę, możeby wreszcie ta mała szelma była i chałupę podpaliła, gdyby nie nagły wybuch wojny. Ja musiałem bezzwłocznie wyruszyć w pole, a żona moja w krótkim czasie potem przenieść się do innej miejscowości, Hanką zaś uszczęśliwiła jakaś starsza pani. „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... małpę!“

Sila i czar munduru.

Ale to trzeba przyznać: kawał był genialny. Pomyśleć: w ultramilitarystycznym państwie, w mundurze kapitańskim uwięzić burmistrza, zrabować kasę — i zwiąć. Któżby podniósł rękę, któżby się ośmielił zaprotestować. Pan „kapitan“ uczynił to wszystko bez okazania jakiegokolwiek dokumentu, rozkazu. Wystarczyło, że był w mundurze, przy szabli. Czego chcecie więcej — moi panowie?

Tak jest. Czyn Voigta dowiódł niezbicie, że mundur i szabla rządzą społeczeństwem niemieckim; że wystarczy być w „mundurze“, aby mieć gwarantowaną bezkarność. Aresztować bez wyjaśnień, bez podania powodów, obrażać etc, co chcecie i jak chcecie. *Brawura i nonszalancja uniformu.*

Kawał Voigta ośmieszył cesarski uniform i jego wszechmoc i apostolską nieomyślność. Zrobił się ruch. Tak — to był niezbity dowód, że przed mundurem wszyscy padają plackiem.

Oto sens najistotniejszy tego zdarzenia, które cieszyło świat i zarazem psuło krew militarystycznym obywatelom pruskim. — Szwec — Wilhelm Voigt — zdegradowany obywatel, zagrał świetnie swoją rolę. Jako „Hauptmann von Köpenick“ wszedł do historii. Postać w każdym razie symboliczna.

Rytm reportażu Zuckmayera.

Nas przedewszystkiem ciekawi tło tego zdarzenia. Sedno zagadnienia. Interesują nas warunki, w których mógł zaistnieć tego rodzaju fakt. *To właśnie tło jest najpoważniejszym rytmem utworu Zuckmayera.* Trzeba przyznać, że autor podszedł do tematu po mistrzowsku. Obnażył atmosferę wyprawy „Hauptmanna von Köpenick“, pogłębił temat, który przeobraził się w zagadnienie społeczne.

Utwór Zuckmayera jest utworem, budzącym głębokie refleksje o społecznym zaborzeniu. Ma więc pełne prawo obywatelstwa nie tylko w literaturze dramatycznej.

Dzieło to, ten reportaż w dobrem znaczeniu, powinien przedrzeć się przez granice niemieckie i zdobyć wszystkie kulturalne sceny (t. j.



Wilhelm Voigt u schyłku swego życia.

Dr JERZY RONARD BUJAŃSKI.

„Kapitan z Köpenicku“.

Człowiek, który ośmieszył pruski militarizm.

Wspomnienie jubileuszowe.

Kraków, 20 grudnia.

Niezwykły to w każdym razie jubileusz, któremu chcemy poświęcić niniejszy feljton. Jubileusz „kapitana z Köpenicku“, czyli innymi słowami Wilhelma Voigta, szweca-wykolejńca, który 25 lat temu stał się bohaterem

będzie niejako kanwą tego „jubileuszowego“ wspomnienia.

Obłęd biurokratyzmu.

„Hauptmann von Köpenick“ Zuckmayera jest bolesną satyrą ustroju społecznego, parodystyczną zarazem rewją militarystyczną. Autor „Knie“ piętnuje idjotyczny biurokratyzm, który człowiekowi z t. zw. przeszłością nie daje prawa pracy, bo odbiera mu „papierów“, a bez nich (dokumentów normalnych) nie otrzyma się nigdzie zajęcia. A to jasne: bez papierów i bez pracy jest się niczem. I w tych warunkach trzeba albo złodziejstwem, albo kawałem w stylu szweca Voigta, ratować się z opresji. Oto proste rozumowanie. Fakt.

Nim Wilhelm Voigt — szwec — stał się kamediantem, „kapitanem z Köpenicku“, zanim z włóczgi wyrósł na bohatera kapitalnej farsy, długie dni i lata gnił w więzieniu za różne przewiny. Los nie był mu łaskaw.

Jakże bolesna ironja. Zważcie. Voigt jest już, niestety, jednostką „notowaną“ przez władze. Siedział za tamto i za owo. Ale obrzydził sobie życie w „państwowym hotelu“ (jakby przewidział kawalarz) i chce wrócić do życia. Chce pracować uczciwie.

Ale tak dobrze jeszcze w Niemczech za czasów Voigta nie było, aby ze świstkiem wię-

przez prawo z miejsca na miejsce. Jest gorzej, niż psem bezdomnym. Jest poza nawiasem społeczeństwa.

Dla niego niema miejsca, domu, chleba. Nawet zatrują powietrze. To nie literatura. To nie piękny okres.

Rzeczywistość, która się ugięła, ani przewyciężyć nie da. Nawiasem mówiąc — ten dialog pomiędzy Voigtem a Haprechtem jest tak wstrząsająco prosty, tak przekonujący, że należy go uznać za scenę w utworze przełomową, za scenę bodaj najgłębszą.

Haprecht — „porządny obywatel“ — chce ratować Voigta. Doradza mu w naiwnej szczerości: *powróć do społeczeństwa.* Bolesne nieporozumienie. Ciężar biurokratycznego państwa przydusza Voigta. Powróć do społeczności — bez papierów, bez prawa pobytu, bez pracy wreszcie... Tak, bez prawa pracy. Jakże to możliwe? Powiedźcie.

Człowiek niepotrzebny.

T. zw. uczciwy obywatel chce Voigtowi zaimponować *prestizem ojczyzny.* Voigt — włóczęga — uderzony został w serce. O to jedno przecież on błaga, aby mu w tej jego ojczyźnie *żyć pozwolono.* Prestiż ojczyzny — to nie biuro policyjne, to nie stek papierów.

Voigt — lachman społeczny — dostrzega w obywatelu człowieka, który cierpi. Poza prawem, poza martwymi przepisami widzi organizm żywy, który jest godzien opieki państwa. Ten przyszły „Hauptmann von Köpenick“ najlepiej odczuwa idjotyzm, bezsilę i nędzę biurokratyzmu, strojącego się w *ideały ojczyzny czy państwa.*

Voigt chce żyć w ojczyźnie, w państwie.



Wilhelm Voigt w mundurze kapitana.

śławnej na cały świat historii. Kawał polegał na tem, że ten zwykły człowieczek w mundurze kapitańskim (który nabył u handlarza starzyzny), dokonał rewelacyjnego i swoistego zarazem przestępstwa. Oto zaarrestował burmistrza, zaskwestrował kasę i kazał prawdziwej eskorcie żołnierskiej odtransportować przedstawiciela magistratu do Berlina. I to wszystko w imieniu „jego cesarskiej mości“. Terenem tej imponującej swoim rozmachem historii było właśnie miasteczko — Köpenick. Trzy kroki... od Berlina.

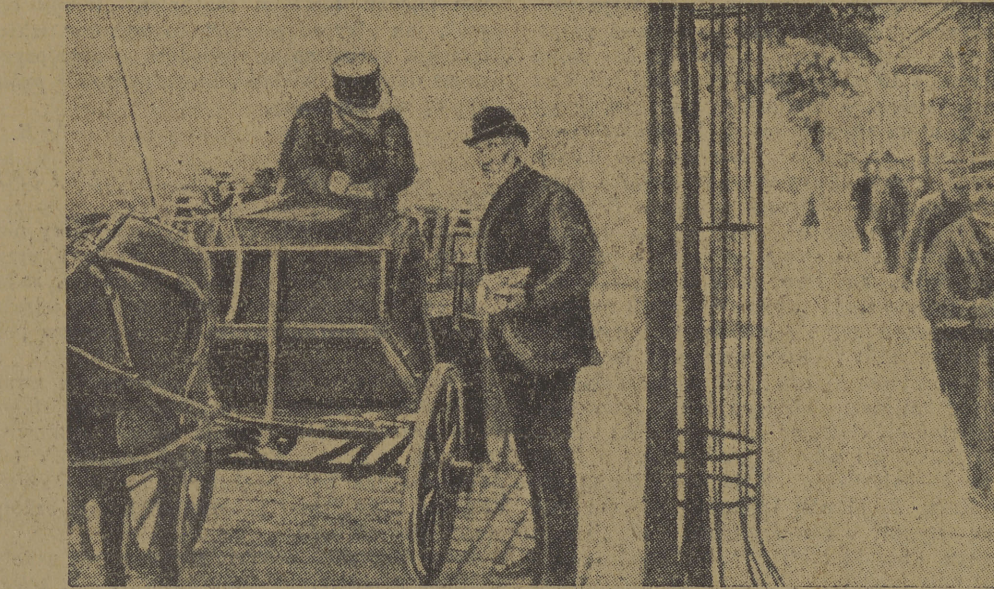
Atmosfera faktu.

„Mundur“ zrobił swoje. Kawał się udał. Późniejsze schwytywanie Voigta zawdzięcza policja zdradzie. Wsyłał go niewierny kompan. Ale to już nie należy właściwie do rzeczy. Nas interesuje i emocjonuje sens tej niesamowicie przemyślanej wyprawy Voigta do Köpenicku. Nas pociąga atmosfera faktu, która obnaża w cudowny sposób militarizm społeczeństwa pruskiego (możnaby powiedzieć: klimat psychiczny). „Kapitan z Köpenicku“ ma niewątpliwie coś z symbolu.

Tak oceniła to wydarzenie Europa współczesna i tak starała się ująć ten kapitalny bądź co bądź kawał szweca niemieckiego literatury, a przedewszystkiem może sławny dramaturg Karol Zuckmayer, którego „Hauptmann von Köpenick“ jest poniekąd syntezą dramatyczną rewelacyjnego przestępstwa Voigta.

Utwór ten odzwierciedla najwspółczesniej istotną treść „zbrodni“ fałszywego kapitana. Najlepiej, najwierniej oddaje rytm tego niecodziennego wydarzenia, które oczywiście uartystycznie i politycznie pogłębił autor.

Tak więc interesujący z wielu powodów reportaż dramatyczny Zuckmayera stanowi



Wilhelm Voigt po opuszczeniu więzienia.

ziennym, chociażby po odsiedzeniu kary, umiał ktoś zdobyć kawałek chleba. Odsyłają więc Voigta po papierów na policję. Tu znów mówią mu reprezentanci porządku publicznego: jak będziesz pracował, pokażę się, że jesteś uczciwy, to damy ci papierów. Piekielny kołowrót. *Obłęd biurokratyzmu.* Pokażesz papierów (a nie zaświadczenie więzienne), przyjmemy cię do pracy. Będziesz pracował — damy ci łaskawie papierów. Bez papierów zdechnij z głodu, albo kradnij. To na jedne właściwie wychodzi.

„Ohne Aufenthalt — und ohne Pass...“ Głębię zagadnienia najlepiej może syntezuje w sztuce scena, w której autor *zestawił Voigta z Haprechtem*, ścisłej — „człowieka dna“ z t. zw. *porządnym obywatelem.* Przy tym ustabilizowanym obywatelu — Voigt jest politycznie i społecznie lachmanem, nędzarzem ostatniego gatunku, gnany i przeganiany.

Drepczy go wyrzut: — co zrobili z jego życiem. Mogłoby powtórzyć za bohaterem Ibsenowskim: ja was nigdy nie prosiłem o życie. I co za życie, jakie istnienie dalsie mi w darze. Co za życie — —

Jak żyd-wieczny tułacz, przeganiany z miejsca na miejsce bez spoczynku i bez wytchnienia. *Nikt nie poda mu ręki.* Jest skazany na śmierć głodową, bezlitosne skonanie. I zapewne żadne amen nie przymknie mu powiek. Lachman. Człowiek niepotrzebny.

Z takiej sytuacji ratować się można albo samobójstwem, albo złodziejstwem, albo *genjalnym kawałem.* Voigt wybrał to ostatnie, za co *„kazano go na cztery lata więzienia.* Akt taki cesarskiej przyszedł. zdaje mi się, dopiero od dwóch lat. Voigt odpokutował solidnie za obrazę „munduru“, który ośmieszył. Sprawiedliwości cesarskiej stało się zadość.

społeczeństwa). Zasługuje na to w pełni.

Zamiast „bomby scenicznej“ (jaka jest np. aktualny dzień reportażu, osnuty na tle sprawy Dreyfussa), dał Zuckmayer reportaż bliski doskonałości. Śmiało poplątanie pozatem scen tragicznych z rzutami głęboko satyrycznymi czyni momentami wrażenie *niesamowitej reżyji militarystycznej i biurokratyzmu otumanionego społeczeństwa.*

Metoda dramatyczna.

Jakże barwna i zarazem sceniczna jest ta metoda skrótów, którą postuguje się z powodzeniem Zuckmayer. *Technika przecięt nowoczesna*, choć inna, niż np. metoda dramatyczna Ferdynanda Brücknera.

Zuckmayer w 21 scenach dał syntezę zdegradowanego człowieka, który nie był (podług tezy autora) winien swej nędzy. *Tragiczny stygmat karalności*, który się włóczy za człowiekiem, jak nieustępliwy zły cień. I już niema znikąd pomocy. Ni wyjścia na powierzchnię. Finis.

Zuckmayer *dramatycznie to dokumentuje.* Bije z tego reportażu zdumiewająco świeży wiew prawdy *Wierzymy.* Rytm akcji wplata nas w powikłane tragicomiczne dzieje szweca, który miał stać się tak sławnym. Autor nas przekonuje! *Znaczący to: zwycięża.* Rzeź nas i *scenicznie interesuje.* Znaczący to: ma zapewnione powodzenie.

Ideowość utworu.

— „Nein — sagte der Zwerg — lasst uns vom Menschen reden. Etwas Lebendiges ist mir lieber als alle Schätze der Welt.“

To jest motto „Hauptmanna von Köpenick“. I zdaje mi się, że to zdanie Grimmowskie tłumaczy tendencje autorskie.

To pewne: Zuckmayer stworzył człowieka.

To nie białe, kukła, rola ubrana, odświętnie w kawały. To nie *Szwajk* w przeróbce scenicznej. To *postać*.

I to jeszcze: to nie jest tylko historia szewca, który nabral genjalnie całe miasteczko

pewnego dnia; to nie jest tylko opowieść o tym kawale, który obiegł cały świat. To jest fragment historii *zmagani człowieka z przesądami i bezprawiem*. Czyż trzeba powiedzieć więcej?

Kamieniołomy bazaltu państwowe a prywatne.

Inicjatywa prywatna w kamieniołomach bazaltu. — Skomercjalizowanie kamieniołomów. — Upośledzenie przedsiębiorstw prywatnych.

Kraków, 20 grudnia.

W związku z artykułem umieszczonym w N-rze 261. „Il. Kuryera Codz.“ p. 4.: „Tam, gdzie przed laty była jeszcze głucha puszcza“, podajemy kilka szczegółów, odnoszących się do kopalni bazaltu w Janowej Dolinie i Berestowcu na Wołyniu.

Głucha puszcza pod względem przemysłowym było i poniekąd jeszcze jest Polesie i cały Wołyn. Jedynie przemysł kamieniołomowy, znajdując naturalne warunki istnienia, w postaci bogactwa złóż kamiennych granitowych i bazaltowych, znalazł swoich pionierów.

Od r. 1921 powstają w miejscach, gdzie poprzednio ludność miejscowa dobywała kamienie na własne potrzeby, lub gdzie przedtem nikt nie domyślał się istnienia kamienia, przedsiębiorstwa polskie, jak: Tow. „Skala“, Polski Przemysł Granitowy, Inż. Wolski i Wiśniewski, Zrzeszenie Samorządów Powiatowych, Związek Celowy Powiatów Górnośląskich, Tow. Eksploatacji Kamieniołomów i inne. — Niemalą pomocą dla powstającej prywatnej inicjatywy, były badania, przeprowadzone przez Państwowy Instytut Geologiczny, który jeszcze w r. 1920 i w następnych latach, opracował pod względem geologicznym tę część kraju i udzielał interesującym się wyczerpujących informacji o miejscach występowania, tych pierwszorzędnych pod względem wartości technicznej, skał.

Złóża w Janowej Dolinie znane były już poprzednio. O uzyskanie dzierżawnych praw eksploatacji tych terenów ubiegała się od r. 1922 Spółka Kamieniołomy Miast Małopolskich, w której zrzeszone są gminy miast Krakowa, Lwowa i Tarnowa, lecz z powodu trudnej decyzji czynników miarodajnych, bez rezultatu.

Starania te ponowiła Spółka w r. 1924, kiedy podjęła eksploatację sąsiadującego o 6 km. z Janową Doliną kamieniołomu bazaltowego w Berestowcu. — Starania te natrafiły wówczas na większe jeszcze przeszkody, a to z powodu kielkujących już *etatystycznych zamiarów* prowadzenia kamie-

niolomu przez *min. robót publicznych we własnym zarządzie*. Twórczy duch tego zarządu oparł się o budżetowe dotacje wielu milionów złotych, które ułatwiły zainstalowanie nie tylko niezbędnych do racjonalnego założenia kamieniołomu, ale tych wszystkich „stylowych budowli“ i kosztownej kolei, które dla przedsiębiorstwa, pracującego o własnych siłach, byłyby ze względu na rentowność nie do pomyslenia.

Dziś istnieje podobno intencja rządu sko-



Wołyński kamieniołom bazaltowy w Berestowcu, Twa Eksploatacji Kamieniołomów Ska Akc., będący własnością miast: Krakowa, Lwowa i Tarnowa.

mercjalizowania wszystkich przedsiębiorstw państwowych i zniewolenia ich do ponoszenia niektórych ciężarów, jak np.: podatki na wzór instytucji prywatnych — co przynajmniej trzeba jest posunięciem bardzo aktualnym. — W każdym razie mimo to instytucję państwowe kamieniołomowe pozostaną zawsze w znacznie lepszym położeniu, bo eksploatując na własnym gruncie, nie opłacają obory, czerpiąc inwestycyjne i obrotowe środki z budżetu państwowego, nie placą odsetek od tego kapitału w przeciwieństwie do instytucji prywatnych, które za te środki wykładają odsetki bankowe w wysokości od 12 do 15 procent.

Częściowa komercjalizacja instytucji państwowych, mająca być wprowadzona, o ile istotnie będzie wprowadzona, przyniesie niewątpliwie pewne odprężenie w dotychczasowym stanie rzeczy, lecz szkód wyrządzonych polityką lat poprzednich nie naprawi.

Z powodów wyżej przytoczonych, nikt nie zdziwi, że kamieniołom państwowy nie tylko mógł wypierać szwedzki materiał z Gdyni, ale również skutecznie zwalczać wszystkie przed jego powstaniem założone polskie przedsiębiorstwa kamieniołomowe na Wołyniu.

Czy to było intencją b. min. Moraczewskiego, nie wiadomo.

Kamieniołom państwowy w Janowej Dolinie pracuje pozatem jeszcze w innych wyjątkowych warunkach, których dobrodziejstwo występuje w całej pełni na tle obecnych ograniczeń budżetowych w utrzymywaniu dróg.

Z natury rzeczy głównym odbiorcą materiałów drogowych są władze państwowe i samorządowe, te zaś wszystkie, idąc po linii nakazu min. robót publ., w pierwszym rzędzie pokrywają swe zapotrzebowanie z ka-

sze ceny sprzedażne dla wszelkich zleceń, pokrywanych z funduszy państwowych.

Różnice cen jednak pomiędzy stosowanymi przez państwowe a prywatne zakłady, są bardzo nieznaczne tak, że oszczędności, jakie zyskują fundusze drogowe, nie pokrywają ani w części racjonalnego amortyzowania i oprocentowania kapitału inwestowanego.

Z drugiej strony te same ceny, stosowane wobec samorządów i prywatnych odbiorców, stanowią o uprzywilejowaniu tych samorządów, które z racji geograficznego położenia korzystają z kamienia państwowego, a już w stosunku do odbiorców prywatnych stanowią formalny prezent.

I w tem ujawnia się większy, aniżeli przy sporze o taryfę kolejową paradoks, że zakład, powstały z pieniędzy podatkowych, zwalcza wpływ tych podatków i odstrasza na tym przykładzie wszelką prywatną inicjatywę.

Tych parę uwag, niech będą raczej przestroga, że nie każda „twórcza radość“ jest naśladowania godną i że w „herkulesowej“ pracy zarządu kamieniołomu państwowego, opartej na stojących bez ograniczeń funduszach, dopatrywać się raczej należy państwoburczych *etatystycznych zapędów*, na zniszczenie tego, co już uprzednio na tej „głuchej puszczy“ wołyńskiej zrobiono.

Myśli i aforyzmy.

Wielu dochodzi wysoko, ponieważ umie pełzać.

Burza wynosi nieraz wysoko to, co przy pogodzie nigdy by się z prochu nie podniosło.

Gdyby zwierzęta potrafiły myśleć, co by sobie myślały o ludziach!

Kłopot jest matką kłopotu.

Uznanie jest rośliną, która zbyt często się krzewi na grobach.

Szczęście mieszka zawsze u sąsiadów.

Głód jest najlepszym kucharzem. Jednakże często przesala on życie.

Zawzyczać musi się z tymi ludźmi rachować, na których liczyć nie można.

Najgryźliwszym jest się wtedy, gdy niema nic do zgryzienia.

W walce o swoje prawa musi się często cierpieć niesprawiedliwość.

Gdy chcesz dobrej rady, to nie pytaj o nią swego przyjaciela lecz swego wroga i zrób przeciwnie jak on ci radzi.

ZOFJA SIKORSKA (Kraków).

Hiszpańska muzyka religijna.

W zakresie całej kultury muzycznej hiszpańskiej jedynie tylko muzyka kościelna wydała utwory o wartości trwałej, co jest najlepszym dowodem, jak dalece *pięknostek religijny*, dzisiaj przemocą niszczone, zrósł się z duszą narodu hiszpańskiego. Przepadły w mrokach zapomnienia kompozycje operowe XVII w., cieni niepamięci pokrył utwory kameralne następnego stulecia, natomiast przetrwała wieki sława mistrzów, czerpiących swe natchnienie ze źródeł mistycyzmu katolickiego, jak *Tomas Luis de Victoria* i cała plejada kompozytorów XVI w., zwanego „złotym wiekiem“ muzyki hiszpańskiej.

Ale przedewszystkiem wspomnieć należy o czasach bardziej odległych, o dawniejszych osobistościach i tradycjach, jak *św. Izidor*, *św. Leander* czy szkoła muzyczna toledońska (VII w.), przedewszystkiem zaś należy poświęcić kilka słów śpiewom liturgicznym obrządku mozarabskiego.

Obrządek ten, zwany dawniej apostołskim, toledońskim, gotyckim lub izydorjańskim, datuje się od pierwszych wieków chrześcijaństwa, a bierze swój początek ze zmieszania się *chrześcijan z Arabami*, którzy zezwalali chrześcijanom na odprawianie nabożeństw. Utrzymał się on w Toledo do dnia dzisiejszego, głównie dzięki renesansowi, jakiego zaznał w w. XVI za sprawą kardynała Cisneros, założyciela specjalnej kaplicy mozarabskiej we wspaniałej katedrze toledońskiej.

Wytworem duchowieństwa mozarabskiego była bogata kultura muzyczna, krzewiąca się bujnie na półwyspie Iberyjskim obok liturgii gregorjańskiej, a ślady jej pozostały w pięknych kodeksach średniowiecznych. Mając do wyboru oba obrządki, prałaci poszczególnych monarchij, na jakie podzieliła się ówczesna

Hiszpania, decydowali w każdym wypadku według osobistego upodobania, który z nich ma obowiązywać. Stolica Apostolska zostawiała im pod tym względem zupełną swobodę, gdyż brewjary i mszał mozarabskie uchodzą za prawowierne, jako wywodzące się z tradycji apostołskich. W końcu jednak zwyciężył i rozpowszechnił się obrządek rzymski z końcem XIII lub z początkiem XIV w.

Pierwszym wielkim kompozytorem religijnym był wspomniany na wstępie *Tomas Luis de Victoria* (1540—1611), który skupia w swej twórczości cechy charakterystyczne sztuki hiszpańskiej: zachwyt religijny i prymitywną nabożność, idealizm mistyczny i żar poezji, pełnej rozmarzenia. A jednak *Victoria*, tworzący samodzielnie w kierunku wytkniętym przez *Palestrinę*, nie był bardziej poważny niż *Cristóbal Morales*, ani bardziej mistyczny niż *Guerrero*, dwaj inni sławni kompozytorzy religijni „złotego wieku“ muzyki hiszpańskiej, jeden liryczny i uczuciowy, drugi pełen dramatycznego nastroju. Obaj rodem z Andaluzji, pozostawili po sobie bogatą spuściznę artystyczną, a utwory ich, wydawane w różnych krajach, już za życia przyniosły im światową sławę.

Do tego samego okresu należą dwaj muzycy hiszpańscy, pracujący na polu muzyki katolickiej włoskiej: *Francisco Soto de Langa* i *Fernando de Las Infantas*. Ten ostatni jest twórcą kompozycji „*Plura Modulationem*“, która dla kontrpunktu wokalnego w XVI posiada takie znaczenie, jakie miał dwa wieki później dla fugi utwor *Bach* „*Wohltemperiertes Klavier*“. *Soto de Langa* zaś należy do jednego z pierwszych twórców „*Laudí spirituali*“, kompozycji podówczas bez precedensu w zakresie polifonii, z przewagą melodji i harmonji prostopadłą w tonacji majorowej i minorowej.

Trzeba też wymienić na tem miejscu dwu ślepych organistów: jeden z nich to *Salinas*, drugi *Antonio de Cabezon*, znany ze swych preludjów i warjacji, które zyskały mu przydomek „hiszpańskiego *Bacha*“. Obok nich

działa mnóstwo innych kompozytorów, mniej lub więcej głośnych, których nie sposób omawiać tu z osobna.

Ale z upływem „złotego wieku“ następuje nieuchronny upadek kultury muzycznej. Surowości zmanjerowanego polifonizmu ścierają się z nieporadnością systemu harmonizacji, często operującego tylko utartymi formami. Te same tendencje występują i w muzyce religijnej w XVII. Jedni rozkładają kompozycje nawet na 36 głosów, podzielonych na chóry, inni znowu popadają w drugą skrajność i stosują jako nowość „*basso continuo*“. Muzykę wokalną a *capella* zastępuje śpiew z towarzyszeniem orkiestry, złożonej z harf, gitar, teorbantów, a później skrzypiec i t. d. Do wybitniejszych kompozytorów tego okresu należą: *Aguilera de Heredia*, *Carlos Patino*, *Pontac*, *Juan Antonio Pujol*, *Mateo Romero* i *Vicanco*.

W następnym stuleciu upadek ten postępuje naprzód. Polifonji starają się kompozytorzy przeciwstawić melodyjność włoską. Zanika powoli muzyka poważna i nastrojowa, uprawiana przez takich mistrzów, jak *Victoria* i *Morales* jakkolwiek nie brak zwyciężonych przeciwników nowej muzyki, przepelnionej zmysłowością bez mistycznych wzlotów. Przedstawicielami kierunku umiarkowanego, korzystającymi z nowości bez narażania dobrego smaku i dbałymi o ekspresję w swych kompozycjach religijnych, są *Ambiela*, *Ripolles* i *Francisco Valls*. Również szkoły w *Monserrat* i *Walencji* wydają z siebie nieprzeciętnych artystów.

Wiek XIX przynosi niestety z sobą jeszcze większy zanik smaku i poczucia umiaru. Zamiast „*paso*“ czyli fug, organisci grają *sarabandy*, *menuety* i „*symfonje*“. Coraz bardziej pod wpływem Włoch uwytadnia się *teatralizacja* muzyki religijnej, zajmują duży miejscę introdukcje orkiestralne i długie partje solowe. Zaledwie ten i ów muzyk zdołał uchronić się od wulgarności jak np. *Mariano Rodriguez de Ledesma* lub *Pedro Aranaz*.

Ale wreszcie następuje reakcja. Pojawiają się nowe wydania starych mistrzów, a obok

tego renesansu polifonji budzi się znowu zamiłowanie do śpiewu gregorjańskiego, aż w końcu encyklika papieża Piusa X z r. 1903 w sprawie muzyki kościelnej kładzie kres wykonywaniu dzieł teatralnych i wulgarnych. Rozpoczynają się kongresy muzyki liturgicznej.

Na czoło tego ruchu wybijają się *Vicente Goicoechea* i *Julio Valdes*, a zwłaszcza kraj Basków i Katalonia dzierżą prym w nowej twórczości muzycznej. Katalończyk *Louis Romeu* jest najwybitniejszym z pośród kompozytorów, umiejących połączyć ducha muzyki katalońskiej z czystością mistyczną śpiewu gregorjańskiego, w takich utworach, jak „*Misas de la Virgen de Nuria*“ i „*Misas de la Virgen del Rosario*“.

Nie brak też teoretyków i propagatorów, jak np. obecny przeor klasztoru w *Monserrat*, *Gregorio Sunol*, którego „*Wstęp do paleografii muzycznej gregorjańskiej*“ (wydany w r. 1925) jest wyczerpującym i jedynym do tej pory studjum nad notacją gregorjańską w ciągu wieków i we wszystkich krajach.

Z odrodzeniem pieśni religijnej na jeden lub kilka głosów, z akompaniamentem muzycznym lub bez, idzie w parze renesans literatury muzycznej organowej, że wymienię tylko „*Nowożytną antologię organową hiszpańską*“, wydaną w r. 1909 przez *P. Otano*, powitaną entuzjastycznie przez świat muzyczny. I tutaj pierwsze miejsce zajmują Baskowie i Katalończycy.

W nowożytnej muzyce kościelnej hiszpańskiej dadzą się zauważyć różne wpływy: polifonji, śpiewów gregorjańskich i melodji ludowych, ale najbardziej może charakterystyczną jej cechą jest mistycyzm Powaga i żar mistyczny łączy się w niej z ascetyzmem i z głębokim wzruszeniem religijnym przy zupełnym wyzbyciu się szczegółików czysto technicznych, a wprowadzeniem na ich miejsce niezwyklej prostoty. Z podobnym zespołem czynników wewnętrznych nie może dziś mierzyć się żadna inna szkoła muzyki kościelnej.

STANISŁAW hr. MYCIELSKI.

Na falach rzeki Zambezi.

Koleją przez step. — W wiosce murzyńskiej. — Pierwsza antylopa. Na motorówce. — Ptactwo błotne. — Noc w podzwrotnikowej dżungli. Hipopotamy gośćmi nocnymi.

Zkolei zamieszczamy trzecie opowiadanie z cyklu artykułów Stanisława hr. Mycielskiego, opisujących przygody myśliwskie w puszczy południowo-afrykańskiej. (Red.)

III.

Kraków, 20 grudnia.

Nareszcie kraj, o którym marzyłem. Siedząc w pociągu ciągle wyglądam oknem, czy zobaczę jakąś zwierzynę. Dżungla nie tak zwarta; częściej jedziemy przez typowy step. — Smutne on robi wrażenie. Trudno dopatrzeć się choć odrobiny zieleności. Żółto-szara trawa, wypalona jak po ogniu, i wierzyć się nie chce, że jakieś życie może istnieć w tym piekielnym żarze. Nagle zrywam się — 12 wspaniałych strusi spokojnie pasie się o kilkadziesiąt kroków od toru kolejowego. Bez cienia strachu, obojętnie patrzą na mknący pociąg.

Często jednak widziałem duże sępy, bez ruchu zawieszane w lazurze, ale za to tysiące bliżej mi nieznanymi ptaków siadywały na drutach telegraficznych. Przez mgnienie oka zobaczyłem siedzącego na drucie dużego tukana. Zabawnie ten ptak wygląda ze swoim ogromnym dziobem, który często jest większy od samego ptaka. Najładniejsze, to dziwne małe ptaszki, których ogon cieniutki dziesięciokrotnie jest dłuższy od niego samego. — Ledwo te biedactwa mogły latać i raz się wzbijwszy, z wielkim wysiłkiem, trzepocząc skrzydełkami, utrzymywały się jak kropka z niezmiernie długim przecinkiem. Monotonność krajobrazu powoli zaczyna się zmieniać. Na zachód w dali widnieją wysokie góry Malopo. Drzewa już większe i trochę zielone — widzę po raz pierwszy wspaniałe baobaby, które jak gdyby wielkie grzyby wystrzeliwiają ponad zwartą i równą dżunglę. — Powoli zbliża się upragniona chwila dojazdu do Livingstone. Za godzinę nareszcie tam będziemy. Staję na szerokiej platformie ostatniego wagonu i wypatruję tak oczekiwanego widoku wodospadów. Podobno o 10 km. widać już białe opary, bijące wysoko w górę.

Za kilka chwil wszyscy pasażerowie w oknach. Pokazują sobie na horyzoncie białą



Czarny policjant z okolicy Livingstone, miasta leżącego nad Zambezi w Afryce Środkowej.

jasną chmurę. Wierzyć mi się nie chce, że to już wodospady. Jesteśmy jeszcze oddaleni o kilka kilometrów, a już pył wodny w postaci białego obłoku zasłania część horyzontu. Kilka chwil jeszcze i pociąg znacznie zwalnia biegu i wjeżdża na most. Zamieram w zachwycie. Wspaniały most, rzucony tuż nad wodospadami, pozwala przez chwil kilka podziwiać w całej pełni i głośnie największe wodospady świata „Wiktoria Falls“. O dwakroć większe od sławnej Niagary. Piana wodna z grzmiotem wzbija się ku niebiosom. Huk tak wielki, że trzeba krzyknąć i to głośno, by być słyszonym. Pod nami przepaść na kilkaset metrów, a w dole szalejąca, pieniająca się Zambezi. Cudna ta chwila mija zbyt szybko. Pociąg zatrzymuje się w samym Livingstone. Na peronie spostrzegam mego przyjaciela, który zbliża się z wyciągniętą ręką.

Czarny, opalony, wesoły, widać że jest w swoim żywiole. Jedziemy wszyscy do hotelu i tu przy whisky dzielimy się wspólnymi wia-

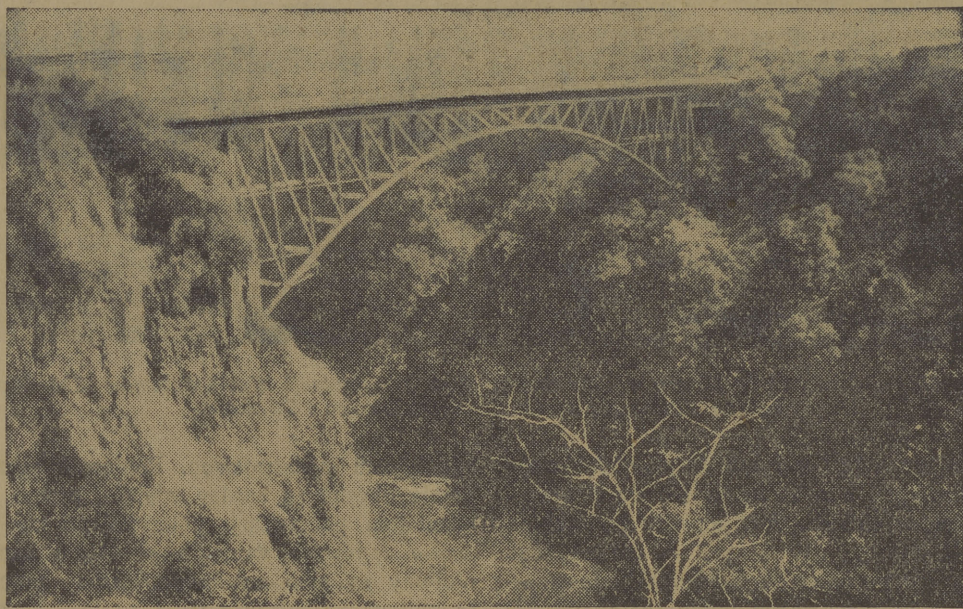
domościami, no i układamy przyszłe plany jazdy w dżunglę.

Zaraz po obiedzie Blake zabiera swoją żonę i leci do Katimy, gdzie będzie mnie oczekiwał. Za 4 godziny doleca, ja trzy dni będą musiał tam jechać.

Część wyprawy już tydzień temu wyruszyła w dżunglę. Jadą więc ogromne sanie nalażone benzyną, prowiantami i t. zw. ciężkim bagażem, zaprzężone w 24 olbrzymie woły. Mamy je spotkać o 200 km. od Katimy w pełnej dżungli, nad małym stawkiem Nguesti.

Nazajutrz mam wyruszyć z Livingstone dużą łorą samochodową do Mambowe, małej wioski murzyńskiej nad Zambezi, oddalonej o 100 km. Zabieram ze sobą część bagażu, zakupionego tutaj dla nowej wyprawy. — W Mambowe będzie mnie oczekiwała łódź motorowa mego przyjaciela i jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to płynąc w górę rzeki, za 2 i pół dnia będę w Katimie.

Na drugi dzień od świtu pakowanie i osta-



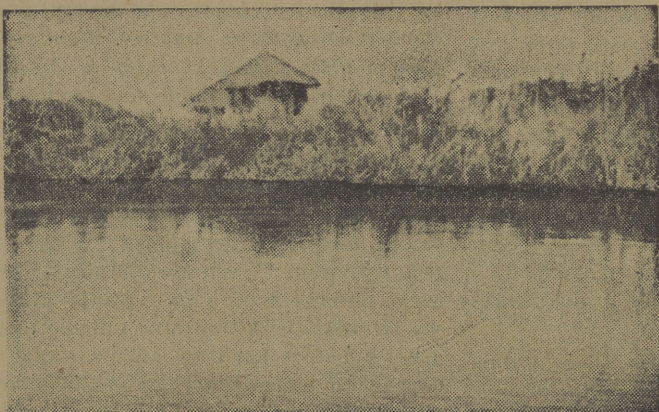
Wspaniały most nad rzeką Zambezi w okolicy Livingstone, w Afryce Środk., jako najwyższy szczyt techniki. Przez ten most mkną pociągi pospieszne, łączące Kapsztad z Kairem.

nie przygotowanie do wyprawy. — Zajeżdża duża łora samochodowa, którą mam odjechać do Mambowe, gdzie czeka na mnie łódź motorowa z Katimy. Niestety, bliżej dojechać nie może z powodu katarakt.

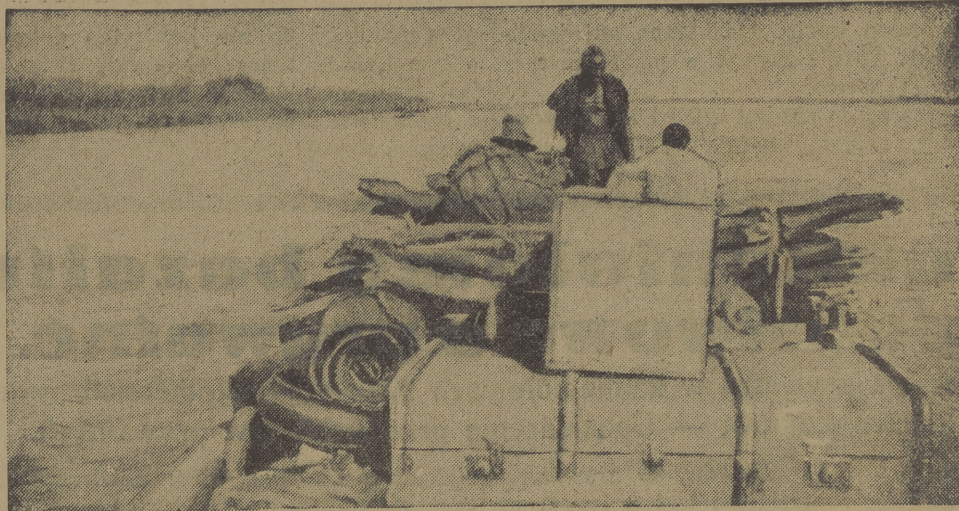
O czwartej dojeżdżamy do Mambowe. Mała to wioska murzyńska nad samym Zambezi. Wita mnie naczelnik wioski, stary murzyn, według zwyczaju siedzi w kucki i klaszcze w ręce. Z zapalem i ja biję brawo, a przez tłumacza pytam się, czy jest łódź z Katimy. Jeszcze nie nadeszła. Rozpacz! Moskity gryzą jak szalone, uciekam jak najdalej od rzeki, rozpalam ogień — trochę to od nich chroni. Niemila perspektywa spędzania nocy w murzyńskiej wiosce i to bez siatek, psuje mi humor, bo już porządnie jestem spuchnięty. — Wypytyuję się o zwierzynę. Podobno o kilka kilometrów w górę rzeki są antylopy. — Niezwłoczna umowa z naczelnikiem, że o ile mi da dobrego przewodnika i zabije antylopę to dostanie całe mięso. W mgnieniu oka kilku czarnoskórych wdrapuje się na automobil i stosunkowo dobrym terenem jedziemy na podjazd.

Wyjeżdżamy na łąki i niebawem spostrzegam pierwszą antylopę wodną. Zaczynam podchodzić, wiatr mam dobry. Na 200 kroków decyduję się na strzał; w chwili mierzenia moja antylopa w skok i ginie w gąszczu. Nic nie rozumiem: wiatr miałem dobry, podchodziłem w lesie, oglądam się i widzę na otwartym polu moich murzynów. W pasji podbiegam do nich i o zgrozo widzę, że murzyni rozumieją po polsku. Przekleństwa leżą na ich kudłate łby, robią swój efekt i tłumaczowi przyrzekają, że już się z wozu nie ruszą.

Jedziemy dalej. Ciemno już zaczyna się ro-



Brzegi rzeki Zambezi w Afryce Środkowej, zarosłe gęsto krzakami, z osadami murzyńskimi.



Dużą łodzią motorową, nalażoną po brzegi bagażami i sprzętem myśliwskim, płynął autor niniejszego artykułu przez kilka dni w górę rzeki Zambezi ku granicy Anzoli i Konga Belgijskiego w Afryce Środkowej.

bię, gdy w dali spostrzegam stado antylop impali, 2 byki i 6 łań. Z dobrym wiatrem podchodzę w rzadkim lesie. Jedna łań musiała mnie zwietrzyć lub zobaczyć i stado rusza galopem. Widzę przez chwilę w luce byka i ryzykuję strzał, gdy wpada w gąszcz. W chwili strzału widzę tylko tył i zakładając, jak do kuropatwy, pociągam za cyngiel. Efekt wspaniały. Impala wyskakuje jak z procy

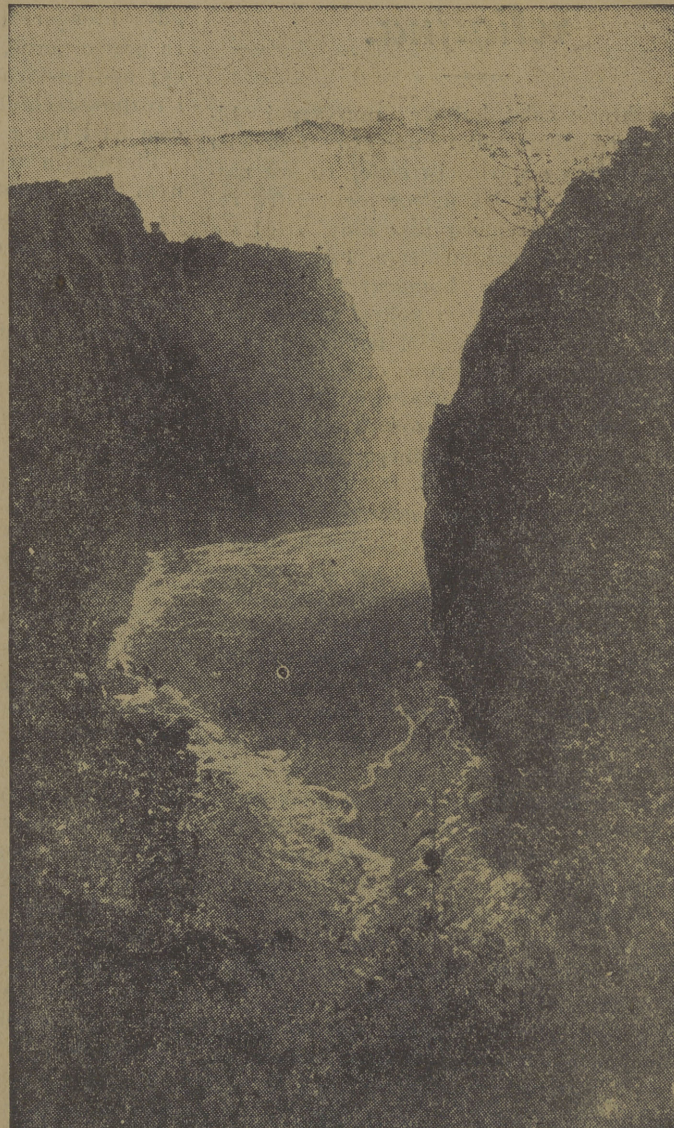
niej szaleją, o spaniu niema mowy, to też o świcie pakowanie i wyruszamy.

Rozkoszuję się cudnym widokiem. Zambezi wolno płynie, niezmiernie szeroka, czasami nie widać drugiego brzegu. Brzeg zarośnięty wysokimi krzakami, tylko od czasu do czasu wystrzela, jakby potężny gmach, wspaniały baobab, a na nim krocie ptactwa od ogromnych sępów począwszy, aż do małych świegocących ptaszek. Znużony jednak bezsennością nocą, rozciągnięty wygodnie w leżaku, zasypiam. Po godzinie budzę się z krzykiem.

Słońeczko afrykańskie zrobiło swoje. Miałem na szczęście hełm na głowie, ale ręce po łokcie były nie osłonięte. Rezultat też fatalny. Skóra spalona, czerwona jak rak i do tego paskudnie bolesne bąble, pała do zwarzowania. Smarowanie wazeliną trochę pomogło, ale od tego czasu już z dużym respektem odnoszę się do podzwrotnikowego słońca. Upał zaczyna być szalony, promienie odbijane w wodzie potęgują żar, oczy pała, szukam ratunku u mego towarzysza, który łódź prowadzi. Z płacht robią mi rodzaj namiotu nad głową; zaczynam odciechać i wyciągnąwszy dubeltówkę czatuję na ptaki, których tysiące widać na brzegach, ale pod lufę im jakoś nie sporo. Próbuje kulą na wielkie odległości, ale drganie łodzi powoduje same pudła. Zniechęcony zaczynam fotografować i czatować na krokodyla, których jest tu ogromna moc.

Pejzaż stale się zmienia, dżungla coraz gęstsza, drzewa większe. Płynąc około brzegu napotykamy szerokie bagniste łąki, a na nich miliony ptactwa, które usłyszawszy i ujrzawszy naszą łódź, z krzykiem i łopotem zrywają się, by kilkasę metrów dalej w ciasnej gromadzie zapaść. Wśród tych gromad zauważyłem moc czapli, żurawi, czarnych bocianów, kormoranów, gęsi, kaczek, niezliczone ilości kulonów i kuligów i mniejszego ptactwa błotnego.

Niestety, wody w tej porze roku (marzec) bardzo wysokie. Ławice piaskowe, ulubione legowiska krokodyli pod wodą, więc zobaczenie krokodyli lub hipopotamów na bli-



Widok na majestatyczne i potężne wodospady „Wiktoria“ na rzece Zambezi koło Livingstone w Afryce Środkowej.

ski dystans, prawie niemożliwe. Duszę się wprost z gorąca. Każda noc podzwrotnikowa wywiera dziwne wrażenie. Chociażby zachody słońca. Słońce, jak gdyby wielka nie rażąca kula świetlna dotyka horyzontu. W mgnieniu oka wszystko się zmienia. Kolory niesamowite, w których fiolecie i karmin są podstawą światła i cieni, milionami barw zawiadają światem całym. Kraj zmienia się nie do poznania. Dziwny i przyjemny chłód, po całodziennym żarze ogarnia atmosferę. Dżungla, jak gdyby za pomocą różdżki czarodziejskiej, nagle się budzi.

Ptaki, zmęczone skwarnym dniem, zaczynają śpiewać; gdzieś wysoko ciągną żorawie i wtórują naprzeciw ciągnącym gęsiom. Cała dżungla żyje jakimś silnym, nieznanym życiem. Ciche skowyty szakali zmieniają się w nagłe szczekanie małego pieska. Gdzieś daleko spazmatyczny śmiech *hjeny* ginie w dali, by wrócić echem spotęgowanym pomrukiem lamparta, polującego w niedostępnym oczekietach. Prawdziwe życie dżungli, ze swymi prawami, tragedjami, walką krwawą o byt, gdzie bek zarzynanej antylopy wtóruje miłosnym pomrukowi drapieżników, wszystko zlewa się w potężną a silną harmonję. Do tych potężnych akordów życia podzwrotnikowego, dołącza się niebawem dziwna orkestra. Ciche i pojedyncze narazie metaliczne dźwięki zaczynają się zlewać w dziwny *chór kostanietów* o kilkunastu tonach. Zrazu słabe, nabierają takiej mocy, że chwilami przysłuszają życie dżungli. Wierzyć się nie chce, że to małe *zielone żabki* tyle hałasu robić potrafią.

Zdala widać światelka. To wieś murzyńska *Seszek*, pierwszy etap naszej podróży po Zambezi. Przybijamy do brzegu, ogień we-

soło strzela w noc ciemną; z radością wyciągam nogi po całodziennym siedzeniu. Wnet otoczeni jesteśmy chmurą murzynów. Opośd widnieje duża wieś z trzema murowanymi domami. Jest to *ostatni punkt cywilizacji* w tych stronach. Niebawem emy goście i to jedynych *białych*, mieszkających w tej wiosce. Nadchodzi wysoki, schorowany na marlarję *naczelnik poczty, kupiec*, posiadający duży sklep kolonialny i *urzędnik rządowy*, ściągający z murzynów podatek. Znużony upałem, natychmiast kładę się spać i kamienynym snem zasypiam.

I tu nie danem mi było spokojnie spędzić całej nocy. Budzę się nagle, słysząc dziwne odgłosy, jak gdyby *bulgotanie, chrapanie, sapanie* i mam wrażenie, że ktoś niedaleko mnie, sierpem tnje szuwar. Budzę mego towarzysza i z bronią gotową do strzału, pytam się cicho, co to za odgłosy. On chwilę nasłuchuje, śmiejąc się odpowiada: „*Kibobo*” i w tej chwili zasypia. Domyśliłem się, że to *hipopotamy* wyszły na żer i pasą się niedaleko naszego obozu. Uspokojony kładę się zpowrotem.

Wstajemy o wschodzie słońca, bo duży etap przebyć dzisiaj musimy. Wsiadając do łodzi, pytam się, czy dużo tu krokodyli. Znużonym głosem odpowiadają mi, że właśnie na miejscu, gdzie nasza łódź przybiła wczoraj, krokodyl porwał ośmioletniego chłopca, który czerpał wodę. Podobno krokodyle wielkie czynią spustoszenie między ludnością tubylczą. Podczas mego pobytu słyszałem o kilku wypadkach. Dowodem niebezpieczeństwa ze strony tych obrzydliwych gadów jest fakt, że ludność tubylcza, mieszkająca nad rzekami, nie *umie pływać*, mimo, że głównie trudni się rybołówstwem.

— Książę czuje się urażony twoim postępkami, winieś się usprawiedliwić. Kamiński, usłyszawszy to, postanowił w najbliższym dniu udać się na audjencję do księcia i wytłumaczyć się. Książę *Józef*, zobaczywszy gościa, odwrócił się doń plecami: — No, chwała Bogu — rzecze nie zrażony tem Kamiński. — Powiedziano mi, że Wasza Książęca Mość gniewa się na mnie, widzę jednak w tej chwili, że to nieprawda. — Dlaczego nieprawda? — pyta zdziwiony książę *Józef*. — Dlatego, że Wasza Książęca Mość zwraca się do mnie plecami, a ja wiem dobrze, że nie jest jego zwyczajem czynić to w obliczu nieprzyjaciela.

MIESZANE TOWARZYSTWO.

(y) Nadwornego swego fryzjera zaprosił raz król angielski *Edward VI* na wielkie przyjęcie, jakie wydał w Buckingham Palace. Następnego dnia pyta go król: — Jakże się panu wczoraj podobało? Jak się pan bawił? — Owszem, owszem, dziękuję Waszej Królewskiej Mości, tylko pozwól sobie jedno zauważyć. Oto, mojem zdaniem, wśród uczestników były reprezentowane zbyt różne sfery, słowem towarzystwo było nieco mieszane. — To prawda — odpowiada król — najbliższym razem zaproszę samych tylko fryzjerów.

CHAPLIN I MAC DONALD.

(r) Gdy angielski premier *Mac Donald*, po skończonej sesji gabinetu, na której przeprowadzono rozwiązanie parlamentu, opuścił budynek parlamentu, natknął się na znakomitego komika filmowego *Chaplina*. — Co pan porabia, drogi Charlie? — zapytał *Mac Donald*. — Myślę nad nowym filmem. A pan? Po-

dobno pan też przygotowuje na dzisiaj wieczór wielkie widowisko? — Możliwe — odpowiedział premier. — Ale my politycy nie możemy sobie naszych scen i scenariuszy tak wyszukiwać, jak wy artyści. — Dlatego też wasze sztuki nie podobają się publiczności — odciął się *Chaplin*.

LOMBROSO I KRUK.

(r) *Lombroso* kupił sobie pewnego razu pięknego kruka. — Bardzo ładny kruk — pochwalił jeden z przyjaciół. — Takiego ptaka mieć, to prawdziwa przyjemność! — Nie dlatego go kupiłem — odpowiedział poważnie uczoney. — Ponieważ ludzie utrzymują, że kruki żyją do trzystu lat, chciałbym więc osobiście przekonać się o tem.

ROZTARGNIENIE NEWTONA.

(r) O *Newtonie* opowiadają, że jego roztargnienie przechodziło wszelkie granice. Pewnego razu zagubił gdzieś swój zegarek. Posłał więc list do swego przyjaciela, u którego bawił ubiegłego wieczora, z zapytaniem, czy przypadkiem zegarek nie został u niego. List miał dopisek: „W tej chwili właśnie zegarek się znalazł, nie trudź się zatem poszukiwaniem. Pozdrowienia — twój *Newton*”.

ZDEMASKOWANY ZNAWCA.

(Kn) *Ludwik XV* zapytał raz jednego ze swoich dworzan, który udawał wielkiego znawcę sztuki, wskazując na piękny obraz *Chrystusa ukrzyżowanego*, czyjego jest pędzla.

Dworzanin odrzekł z godnością: — Wasza Królewska Mość żartujesz sobie ze mnie. Każdy widzi przecież, że to jest robota malarza *INRI*.

Kącik rozrywkowy.

2. SZARADA.

(Ul. Eska ze Stryja).

Po pierwszym, gdy w kieszeni nie jest jeszcze dziura — „*pierwsza*” odwiedzasz chętnie powracając z biura. Bo wiesz, że „*wspak pierwsza* wprost *druga*” — gdzież żona twa na kuracji — dzieci piją mleko,

Więc służącej, co na imię „*druga, trzecia, czwarta*”

Ufasz w zupełności, bo jeszcze coś warta, Gdy więc wieczorem owa wierna służa Czeką cię przy stawie przy niej „*pierwsza druga*” To wtedy „*trzecia czwarta*” zmienia się u ciebie, Bo jesteś słomianym — przystem w siódmem niebie

I tak płynąc — u nóg sługi ty jesteś służącym I jako w Wenecji pod słońcem gorącym Spiewasz jej cudnie — w sercu coś się marzy, „*Calosc*” jest często na ustach weneckich wioślarzy.

Szarada krzyżkowa Nr. 47.

(Ul. Eska ze Stryja).

Pionowo: 1) świątynia wszystkich bożków w starożytności; 2) smola pogazowa, 4) tkanina, 6) ziemia w jez. obc., 8) ojczyzna pierwszych rodziców, 10) rodzaj młota do rozbijania kamieni i ziemi, 12) wyrutek społeczny, 14) książkę (arab.), 16) stan powietrza, pogoda, 18) sieć na ryby, 20) skorupiak, 22) inaczej przepych, okazałość, 24) półwypiek w Europie, 26) imię mahometańskie, 28) święta księga Mahometana, 30) wschód w jez. obc., 32) zaostrzone koly z drzewa, 34) bogini grecka, 36) inaczej popas, spoczynek, 38) jutrzeń-

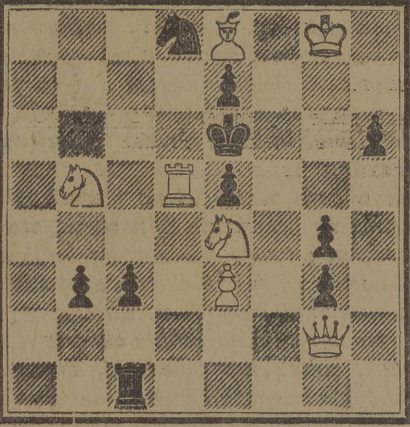
gini, żona Kronosa, matka Zeusa, 114) część twarzy, 115) zaimek *wspak*, 116) jadowny wąż w Indjach, 118) rozbiór (w chemji).

Poziono: 1) spółgłoska fonet., 2) cytadela w Londynie; 3) patrz pod 86 pion., 5) kraj błogosławiony, 7) ruch piaka w powietrzu (*wspak*), 9) pyłtajnik, 11) owad, 13) zwierzę, 15) śpiewak u star. Greków, 17) przyimek, 19) imię żeńskie zdrobniale, 21) marka znanego aparatu fotograf., 22) zbiór, większa ilość (np. papieru), 23) pustynia w Afryce, 25) część pościeli, 27) przyrząd do mierzenia przestrzeni, 29) spółgłoska fonet., 30) styl artystyczny z czasów pierwszego cesarstwa we Francji, 31) przyrząd, 33) żupa solna, kopalnia,

Kurjer szachowy Nr. 49 (331).

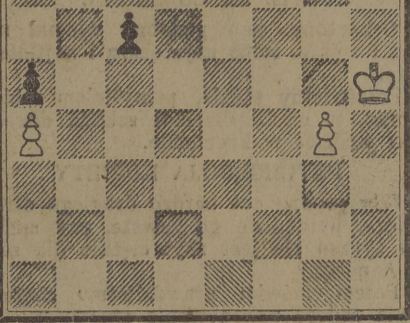
L. Knotek (III. nagr. w konkursie Ustredni Jednota cecskosl. sachistu w r. 1930).

Czarne: Ke6, We1, Sd8, piony: b3, c3, e5, e7, g3, g4, h6 (10).



Białe: Kg8, Hg2, Wd5, Ge8, Sb5, e4, pion: e3 (7). 3-chodówka. 7+10=17. Mat w 3 posunięciach.

R. Reti („Berliner Tageblatt“ 1923). Czarne: Ke8, piony: a5, d6 (3).



Białe: Kh5, piony: a4, g4 (3). Końcówka (+) 3+3=6. Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 48 (330): 3-chodówki E. Arłamowski; 1, a4! (grozi 2 S-f7+ a 3. H-b5X); I. 1... G-h5 2. H-b5! (2. Sxc4? K-d7! i niema X w 3 pos.) i 3X; II. 1. G-f3 2. eXd4 i 3X; III. 1. e3 2. e4 (2. eXd4? G-h5 i niema X w 3 pos.) i 3X; IV. 1... W-g5 (-g7) 2. e4 (2... eXd4? 3. WXe5 i niema X w 3 pos.) i 3X; V. 1... S-g5 2. S-f4 i 3X.

Złudne: 1. H-b5? S-g5 i niema X w 3 pos. Końcówki D. M. Greczkin: 1. S-b3+ K-c3! (A) 2. S-a1! b1H 3. H-h8+ K-d2 4. f1-h6+ K-c3 5. H-g7+ K-d2 6. H-g5+ K-c3 7. H-e5+ K-d2 8. H-e3+ K-c1 9. H-g1+ i wygrywa. (A) 1... eXb3 2. H-j3+ K-c2 3. K-e2 (-e3) i wygrywa.

PARTJA NR. 49 (331). Białe: E. Lundin. Czarne: A. Sjöstam grana w turnieju o mistrzostwo miasta w Sztoholmie w r. b. Gambit hetmana. 1. d4 d5 2. c4 e6 3. S-c3 S-f6 4. G-g5 Sb-d7 5. e3 c6 6. S-f3 a5 (1)

7. a3! (2) G-e7 8. H-e2 0-0 9. Wa-d1! (3) Wf-e8 10. G-d3 dXc4 11. GXc4 b5 12. G-a2 G-b7 13. 0-0 Wa-c8? (4) 14. S-e5 S-f8 (5) 15. G-f6! GXf6 (6) 16. S-e4 G-e7 17. f4 H-c7 18. f5 e5 19. fXe6 f6! (7) 20. S-f7! eXd4 (8) 21. HXc7 WXc7 22. Se-d6! We-b8 23. eXd4 G-a8 24. Wd-cl WXcl 25. WXcl b4 26. aXb4 WXb4 27. S-f5 Czarne poddały się (9).

UWAGI: (1) Najkorzystniej jest grać to posunięcie po uprzednim 6... G-e7 lub też 6... 0-0. (2) Polecone przez Grünfelda, aby po dXc4 GXc4 b5 cofnąć się: G-a2. (3) W tej pozycji najsilniejsze kontynuowanie ataku. Dla przykładu jak w gambicie hetmana, tem otwarciu, obfitującym w mnóstwo subtelných odmian, czarne nie grając c6 (odmiana słowiańska) mogą sprowadzić korzystne wyrównanie gry, przytaczamy wariant: 1. d4 d5 2. c4 e6 3. S-c3 S-f6 4. G-g5 G-e7 5. S-f3 Sb-d7 6. e3 0-0 7. H-e2 i teraz c3! (4) Czarne dążą do sforsowania c5. 13... H-b6! należało grać. (5) Jeśli 14... S-d5 to 15. GXe7 HXe7 16. S-e4! (6) Gdyby 15... gXf6, to 16. S-d3, poczem ewent. b4. (7) 19... fXe6? 20. WXf8+! GXf8 21. S-g5+, lub 20... KXf8 21. W-f1+ G-f6 22. Sxf6 gXf6 23. WXf6+ K-g8 (-g7) 24. W-f7 HXf7 25. SXf7 KXf7 26. HXh7+ i HXb7 z wygrana. (8) 20... GXe4 należało grać. (9) 27... W-b7 28. G-d5! lub 28. Sf-d6 W dowolnie 29. SXe7 WXe7 30. S-f5.

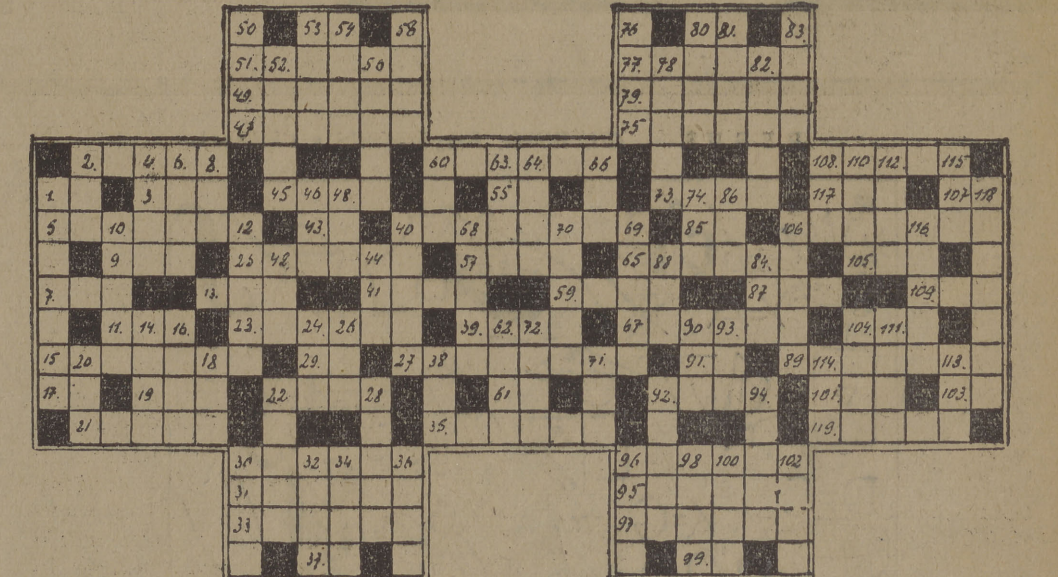
Lundin zdobył tego roku mistrzostwo Szwecji (przed Stoltzem i Stahlbergiem!) i należy dziś do elity mistrzów szwedzkich.

Odpowiedzi Redakcji.

„H-SKI. GRODNO”. 1) „Przełł, współczesny” Kraków, ul. Sławkowska 32. 2) Naokoło Świata — Warszawa. Zgoda 12. Dwa inne zamówiół przez księgar nie Gebethnera i Wolfa, Warszawa, Zgoda 12. WP. JERZY KWIECINSKI. Zwracamy. „IRA”. Może. WP. BOHDAN HAMERA, WP. MICHAŁ MAZURKIEWICZ, WP. BRONISŁAW KOCHMAŃSKI, WP. MARJA WAKSMUNDZKA, „G. M. J.” — Nie wydrukujemy. „RIH”. Tym razem nie. WP. JAN CUDAK, WP. ADA GROTA. — Nie skorzystamy. WP. M. E. K. — GDYNIA. Może w „Kurj. Sportowym”. „PODHALANIEC — KRAKÓW”. Rzecz zadługa. „J. K. — WARSZAWA”. Wiersz przydługi. „BEM”. Jeden wiersz daliśmy do „Kurj. Kob.”. „JAXA — GRYF”. Mle, ale zleka banalne. „JÓZDA”. Słabe. „R. L. M.”. Ładne, ale bez cech oryginalności. „ROZEK”. Są dobre momenty, ale całosc błada. WP. S. TOMASZ. Nie skorzystamy.

Anegdoty ciekawe.

O KSIĘCIU JÓZEFIE. (y) W swoim czasie wydał książkę *Józef Poniatowski* w pałacu „Pod Blachą” w Warszawie ucztę, na którą zaprosił wiele osób z towarzystwa, a przedewszystkiem swoich przyjaciół i towarzyszy broni. Do tych ostatnich należał także późniejszy generał jazdy wojsk napoleońskich *Kamiński*, który jednak zapomniał zupełnie o zaproszeniu książca i nie pojawił się na uczcie. Na drugi dzień spotyka go jeden z przyjaciół i mówi:



ka, 40) jednostka próby złota, 42) poemat liryczny, 44) inaczej wrzątek, 46) większa ilość drzew 48) czapka, 50) podziemia, piekło u star. Greków, 52) miasto na Śląsku w Czechosłowacji, 53) maszyna, 54) naczynie, 56) pani w jez. obc., 58) o grody owocowe, 60) naczelnik okręgu we Francji (burmistrz), 62) inacej atak serca, 63) wnętrze kościoła, 64) pozostałość po plynach na dnie naczynia, 66) część fryzury damskiej, 68) zawia domienie, 69) uczucie, 70) kraj w Alpach, 71) imię żeńskie zdrobniale, 72) inacej „pali się”, 74) inacej konieczność, 76) i 100) nierozdzielna więcej cząstka, 78) okres czasu, 80) służy do osuszania gruntów, 81) czworobok, formowany przez wojsko, najezony bagnętami, 82) bożek leśny, 83) służy do opatrunków (obkładów), 84) inacej porządek *wspak*, 86) „módl” się w jez. martw., 88) zaimek *wspak*, 90) tytuł członka Izby wyższej ang., 92) drżenie, obawa, 93) zwykły termin wypłaty weksła, 94) mała rzeka; 96) oprawa obrazu, 98) mityczne duchy zmarłych przodków, czuwające nad rodzinami, 102) roślina, 104) ślad, 106) rodzaj bluzki damskiej, 108) inacej zabawa towarzyska, 110) inacej „nie rusz”, 111) choroba, 112) imię męskie, 113) mityczna bo-

35) mityczna istota, pół kobiety, pół ryby, 37) spółgłoska fonet., 39) nazwisko króla jednego z państw europejskich, 40) przyozdobą do stroju męskiego, 41) załazek rybi (*wspak*), 43) bóg ośchłani i wód u Asyryjczyków, (*wspak*), 45) litera grecka (fonet.), 47) owoce południowe, 49) ustęp w poematcie, 51) zimna potrawa mięsna, 53) dwie spółgłoski, 55) karta do gry, 57) ułomności, błędy, 59) in. murzyn (*wspak*), 60) szkiełko na jedno oko, 61) miara powierzchni, 65) przednia część budynku, 67) półkulisty szczyt gmachu, 73) bożek miłości, 75) inacej pientędz, 77) płaski szczyt dachu, służący do wycopcynku, 79) opracowanie piśmienne jakiejś sprawy biurowej, 80) skrót na 1/100 kg., 85) miasto w Mezopotamji, 87) owad *wspak*, 89) rozbójnik morski, 91) — 55), 92) patrz pod 104) pion., 95) miłośnik (np. sztuki), 96) wieści (z łac.), 97) kolonja francuska w Afryce, 99) zaimek w l. m. *wsp.*, 101) nauka oddziału wojskowego, skrót., 103) bóg ośchłani i wód u Asyryjczyków, 104) hoga, bieg, 105) „kocham” w jez. martwym, 106) owad, 107) przyimek, 108) inacej mowa, 109) zabawa taneczna, 117) pierwiastek promieniotwórczy, 119) patrz pod 52) pion.

Kacik dla Pań.

Dwie różne sylwetki kobiece.



1) Złota suknia wieczorowa z lśniącego jedwabiu w stylu lat 60-tych. 2) Wytworny biały żakiet z matowego jedwabiu, jako uzupełnienie popołudniowej sukni z czarnego crepe de Chine; 3 i 4) Dwa modele najnowszych kapeluszy zimowych. 5) Pyjama wieczorowa, z wzorzystego jedwabnego muszlinu.

(lew.). Kobieta, stosująca się do mody, ukazuje nam w chwili obecnej dwojaką swą sylwetkę: jedną pełną prostoty, niewyszukaną w linii, drugą, wprost przeciwnie, pełną wyszukaną fantazji i doprowadzoną obecnie do szczytu kobiecości. Dwa te odmiennie prądy krzyżują się w tej chwili w modzie; oba mają swoje zwolenniczki.

Pierwsza moda, prosta w ogólnej linii, panuje przede wszystkim w stroju przedpołudniowym. Do użytku rannej przechadzki czy to dla przyjemności czy też „za sprawunkami”, tak samo jak i do sportu, nadaje się przede wszystkim płaszcz z grubej wełny, w stylu tailleur; charakterystyczną jego cechą są przeważnie duże ranwersy oraz praktyczne kieszenie. Płaszcz taki spełnia odpowiednio swoje przeznaczenie, to znaczy chroni przed zimnem, dzięki temu, że jest szczelnie na guziki zapięty, najczęściej ponadto przytrzymany jeszcze na linii stanu, paskiem. Najmodniejszym kolorem na tego rodzaju okrycie jest kolor brązowy, o ciepłym odcieniu, wpadającym w czerwień, dalej ciemny granat, wpadający w sliwkowy, oraz zielony.

W Paryżu, gdzie temperatura jest o tej porze łagodniejsza, aniżeli u nas, spotyka się w godzinach porannych na ulicy wiele kobiet w kostjumach, w których przeważają również wyżej wymienione barwy.

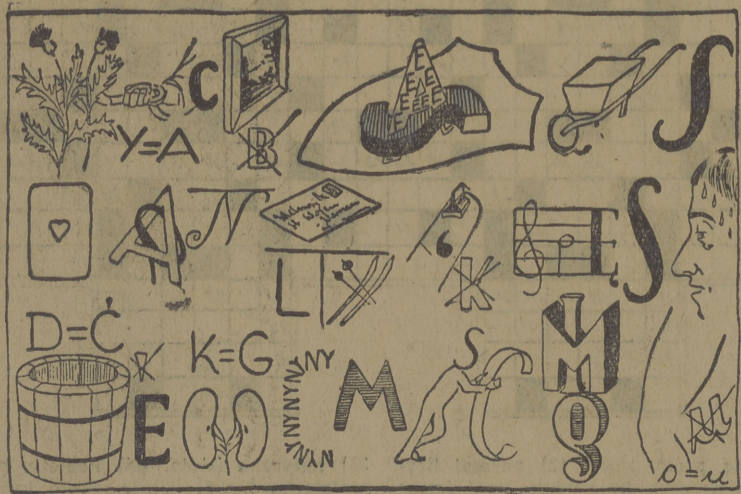
W godzinach popołudniowych sylwetka kobieca zmienia się zasadniczo, zatracając prostotę i surowość linii. Płaszczce popołudniowe są już bardziej wyszukane w fasonie, przeważnie bogato ozdobione futrem.

Wśród sukien wieczornych, bez względu na to, czy są one przeznaczone na t. zw. petits soirs, czy też są to już toalety wieczorowe w wielkim stylu, panuje jedna naczelną zasadą: fourreau przylega ściśle do ciała, aż do linii powyżej kolan i dopiero u dołu sukni rozszerza się, nawet dość znacznie, przy pomocy rozmaitych godetów, falban, falców, plisowań itd.

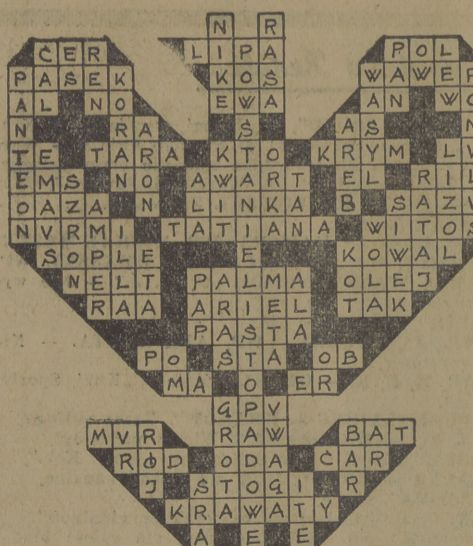
Mimo, że suknia czarna jest najpraktyczniejszą i najbardziej może elegancką, niemniej kolory żywe cieszą się w tym roku dużym powodzeniem. Materiały matowe używane są bardziej na suknie wieczorowe, aniżeli błyszczące. Najlepiej nadaje się na ten cel crepe marocain i jedwabny organdi, który ma tę zaletę, że się nie mnie i wygląda zawsze świeżo.

Dekolt bardzo głęboki na plecach, sięgający nieraz aż prawie do linii stanu, oto hasło tegorocznych toalet wieczorowych. Ponieważ noszenie tak głęboko dekolowanej sukni może być czasami kłopotliwe, zarzuca się w takich razach na suknię lekkie okrycie w rodzaju cape, bolera lub pelerynki. Znana firma konfekcyjna paryska Lanvin, lansuje do wieczorowej toalety z jedwabiu matowego, krótki żakietik ozdobiony lśniąco pailletami. Augustabernard uzupełnia toaletę wieczorową długą szarfą z cieniutkiego aksamitu, obrzeżoną gronostajem. Szarfa taka, zarzucona na ramiona i zakrywająca głęboki dekol na plecach, odgrywa rolę cape.

REBUS. (Ul. Włodz. Krzyżanowski z Chelma).



Rozwiązanie szarady Nr. 46.



WIE ZA CO SIEDZI.

— Oskarżony, pan podobno wiał się do sklepu i wybrał sobie największą i najtłuściejszą szynkę.
— Prześwietny sądzie, pomyślałem sobie, jak już bracie, to bracie... Przecież szkoda dla chudej szynki siedzieć w kryminale.

PSYCHOLOGJA KOBIETY

— Gdy pragnę coś bardzo drogiego otrzymać od męża, pytam się go zawsze, czy spełnienie moich życzeń nie jest zbyt ciężkie dla niego.
— A potem?
— Potem mówię: prawdziwemu mężczyźnie sprawia radość pokonywanie trudności.

TAKŻE POCIECHA.

Starsza pani (wzdychając):
— Tak, tak, osiągnęłam już niestety ową nieśczęsną trzydziestkę.
Kawaler: — Niech się pani nie smuci, i trzydziestka minie!

POWÓD.

— Czy pańska żona miała powód, gdy pana bila?
— Powodu nie miała, tylko miotłę, proszę pana sądziego.

TERAZ ZMIENI ZDANIE.



— Powiedz raz jeszcze, że wolisz wycieczkę morską aniżeli górską...!

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 50.
Parlamentaryzm.

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 49.
W kredzie kupiec skraca biedę.

ROZWIĄZANIE REBUSU Z NRU 50.
Udoskonalenie produkcji i przewaga jej wobec różnych państw wróży wielkie nadzieje na przyszłość.

Wesoly kacik.

REKLAMA.

Pewien kupiec zaprosił do siebie swego doradcę prawnego, celem ułożenia ostatniej woli. Układają więc testament, a na końcu kupiec żą-

da wstawienia do testamentu klauzuli, na mocy której każdy pracownik, który przepracował w przedsiębiorstwie spadkodawcy 30 lat, ma otrzymać 10.000 zł.

— Ale tak długo przecież pański interes nie istnieje! — woła zdumiony adwokat.
— To prawda, a ja też nie mam tych 10.000 złotych, ale niech pan sobie wyobrazi, mecenasie, co to będzie za bajeczna reklama.

DROGI TOWAR.

— To Awanturnicy się pogodzili? Sam słyszałem, jak on mówił do niej „moja droga”, co jest nawet dziwne, bo ona zia i sucha, jak zapałka.

— Właśnie zapałki teraz podrożały.

CO LEPSZE.

— Widzisz, człeku, ja mam detektor i łapie nań trzy stacje, a Ferdek ma pięciolampówkę i nie nie słyszy.
— Nie bujaj!
— Bardzo proste — Ferdek jest głuchy.